Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 17 lipca 1938 r.* Nr. 29

Na próżno pachną złote łubiny...

Zakwitły w polu złote łubiny,
Więc — oczywiście! — znów mam w pamięci
Tych naszych wakacyj cudne godziny,
Ten pierwszy urok na dróg zakręcie.

Przez rok okrągły, tam w moim mieście,
Tą jedną myślą wciąż tylko żyłam:
By cię tu spotkać i jak w powieści —
Z szarzyzny życia — baśń stworzyć miłą.

Ale na próżno dziś drogi mijam,
Te nasze drogi z śniegiem stokrotek...
Nie ma cię!... i myśl się w duszę wbija,
Że cię już nigdy w życiu nie spotkam.

Na próżno pachną złote łubiny,
Na próżno świerszcze cykają w trawie,
Skoro nie wrócą tamte godziny
I tylko mocny ból serce trawi....

Maria Zemmlerówna.



Pod obuchem posądzenia

Z chaty wyszedł, kulejąc, chłopiec lat szesnastu, ubrany w płócienne spodnie i koszulę wyszywaną na kołnierzu i mankietach.

— Zawieziesz panienkę „czajką" do Worsynia? — zapytał chłopca.

Chłopak podrapał się po głowie:

— Czemu nie? Ot, niech zsiądom z woza i idom ze mną ku rzece.

Natalka zeskoczyła z wozu zręcznie jak wiewiórka.

— Powiedz, tatusiu, mamie, że za twoją wiedzą pojechałam do hrabiny. Wrócę wieczorem, bo zajdę do państwa Szustaków.

Wspięła się na palce i pocałowała ojca w policzek na pożegnanie. Potem poszła za chłopcem wąską ścieżką w dół poza chatami do Jasiołdy, gdzie rzędem u brzegu kołysały się różnego formatu łódki, zwane po poleszucku dołbańcami, czajkami, czubaryczkami. Czajka i czubaryczka to małe, płytkie, o płaskich dnach łódeczki, odgrywające w życiu Poleszuka rolę konia, wozu, gondoli. W nich jeżdżą do sąsiadów, do miasta z produktami, na pole, na łąki. Dołbańce, to również małe łódeczki wydrążone z pnia lub z kory dębowej. Są one bardzo wywrotne i nadają się na małe przejazdy na łąki lub od chaty do chaty.

Chłopak odczepił środkową czubaryczkę od pniaka, do którego była przymocowana, pomógł Natalce wejść do niej i odepchnąwszy ją od brzegu wyjechał z zatoczki na rzekę, szeroko rozlewającą się z jednej strony het daleko na błota, o krętym, zębatym brzegu, usianym zatoczkami i „rowkami", wrzynającymi się głęboko w moczary, nieraz na kilkadziesiąt lub kilkaset metrów w głąb bagna, by kolistym łukiem wypłynąć do rzeki, nieraz o kilometr dalej.

Słupy rzeczne, orientacyjne — białe po lewej, czerwone po prawej stronie — giną często z oczu i zatracają się w krętym zazębieniu brzegów.



Najmniejszy człowiek na świecie, Paul del Rio, mający wzrostu 50 cm i wagę 5,5 kg. Liczy on 18 lat.

Z drugiej strony brzegu rosły sitowia, oczerety i trzcina, wśród których wystrzelały gdzieniegdzie karłowate olchy, lub brzozy, wśród których uwijają się bociany, obojętne na otoczenie, niepierzchliwe, brodzące wolno, z namysłem długimi nogami po zielonych kobiercach moczarów, spacerują po brzegu, wyszukując żaby tłuste, soczyste. A można wybierać w tym królestwie dzikich kaczek i żab.

Czubaryczka posuwała się wolno z prądem rzeki. Chłopak, stojąc, kierował łódką zręcznie, poruszając od czasu do czasu wiosłem. Wyglądało to raczej na bawienie się mąceniem wody, niż na wiosłowanie.

Chłopak milczał. Jak każdy rodowity Poleszuk małomównego był usposobienia, a przy tym onieśmielała go mało znana panienka z leśniczówki, bo choć to swój ród Szołomickich, ale zawsze już panienka. Mieszka, jak we dworze, w mieście do szkoły chodzi.

Cicho na wodzie. Gdzieniegdzie zagdacze kurka wodna, zaskrzeczy ropucha, odpowiedzą jej rechotaniem inne żaby. Zamilkną i znów cisza. Od czasu do czasu poderwą się z łoziny kaczorki, załopocą nerwowo skrzydełkami i opadną dalej. Łódka ślizgała się lekko po wodzie, chłopak ciągle jechał na „pych", stojąc. Gdzie okiem sięgnąć, ni chaty, ni człowieka, a tylko zielone moczary, porosłe wikliną i oczeretem. W przeźroczystej, niebieskiej toni, jak w lustrze przeglądają się chmury i patrząc w dół Natalka miała wrażenie, że jedzie po niebie. Na horyzoncie czernieje ciemną ścianą las. Stamtąd płynie głos kukułki. Musi ona być gdzieś bardzo daleko, bo jej „kuku" dochodzi słabo do uszu jadących, raczej odbija się echem.

Mewki rzeczne, zwane w gwarze miejscowej „kryczkami", krążą nad ich głowami, to zręcznie spadają na wodę po rybkę lub owady, by momentalnie wzbić się znów w górę.

Chmary komarów i muszek pędzą przed nimi, to okrążają ich. Och, zostają w tyle i znów ich gonią. Mijają ich statki, holujące do Pińska tratwy z drzewem z Horynia.

Furcząc i bałwaniąc wodę przesunęła się środkiem rzeki ciężka i masywna „Klara", która ongiś, przed wojną woziła ładunki do Kijowa, Mozyrza, a nawet zapuszczała się aż do Odessy.

Czubaryczka, nastawiona przez Antoszkę dziobem do statku, zakołysała się przyjemnie na fali. Płynąc w czubaryczce 6 kilometrów bez zatrzymania się, to dobry kawał drogi, to dobrych parę godzin jazdy.

Za zakrętem skończyły się szuwary, przechodząc w las rzadki z początku, o drzewach karłowatych, śmiesznie powykręcanych, potem coraz gęstszy, dębowy, podszyty olchą i wierzbą. Rzeka zwęziła się, niebieska woda przybrała odcień ciemny, zielono-bury, ale brzegi jakby się wyrównały, wyprostowały, podwyższyły.

Ale nie, znów zakręt, tym razem szerszy, rozleglejszy i brzeg rozpłynął się w błocie i oczerecie.

Mijały ich znowu statki. Przepłynęła prawie bez szumu i fal bulgocących, spienionych, lekka „Leonida", ciągnąc za sobą długiego węża zbitych bali sosnowych. Zafurgotał, zagwizdał, zaszumiał i zachlupał „Paweł", sunąc z Dawidgródka do Pińska, pozostawiając po sobie spienioną zbałwanioną wodę.



Sonia Henie przybyła do Londynu, by odwiedzić Europę

Uspokoiła się rzeka, zniknęły z oczu statki i byli znów na rzece sami z ciszą południa, śpiewną, dzwoniącą, brzęczącą. Krzyczą kuliki, czajki i mewki, brzęczą komary, muszki i inne wodne owady, pohukuje bąk, kwaczą kaczki, świszcze trzcina niczym ptaki lub owady. A wszystkie te odgłosy razem składają się na tę rozdzwonioną, rozbrzęczaną ciszę, urocznie tajemniczą.

Znów zakręt. Z prawej strony skończył się las, a rozciągnął się pas wikliny. Wjechali w „rowok", co wąską strugą wrzynał się w oczeret. Czajka sunęła wolno wśród wiklinowego pola i nagle przed oczami Natalki wśród trzciny i błota wyrosło jezioro, przeciwległy brzeg, który obsiadły półkolem chaty, szare, bezdrzewne, kryte oczeretem na tle łąk i lasu.

— Ot i Worszyn — przemówił chłopak — a to Leśny Dwór — wskazując czerniejący na horyzoncie park.

— Piękny dwór i ogród — dodał. — Wiadomo, co pańskie i grafskie obejście, to nie chłopskie i szlacheckie.

Przecięli w poprzek jezioro, pokryte wodorostami i liśćmi nenufarów i czajka, pchnięta silnie wiosłem, wjechała dziobem na brzeg.

Dopomógł jej wysiąść na brzeg i wskoczył z powrotem do łódki.

Wyciągnęła do niego rękę:

— Dziękuję panu.

Jak stary Polikarp, tak i Antoszko bez uniżoności podał jej swoją ciemną, twardą, opaloną dłoń.

— Szczęśliwej drogi panienko.

Wąską ścieżką, wydeptaną wśród łąki, szła na przełaj ku pałacowi.

Rytmiczne kołysanie się łódki, cisza i spokój na rzece podziałały na nią kojąco. Już nie zrywał się w jej piersi szloch i

bunt, choć tępy, dokuczliwy ból uciskał jeszcze piersi i serce.

Tuż koło bramy pałacowej natknęła się na praktykanta:

— Aha, tatuśka nie ma, więc spieszy do mamy — pomyślała bezwiednie.

Krew zawrzała jej w żyłach. Cała widziana przez nią przedwczoraj ohydna scena uplastyczniła się w jej umyśle, wywołując łunę rumieńca wstydu dziewiczego na twarzy i ogrom oburzenia w sercu. Odezwała się w niej wrodzona duma, na którą składały się pokolenia całe ludzi, o wysokim pojęciu honoru swego rodu. Na jego uprzejmy ukłon i przymilne spojrzenie odpowiedziała wyniosłym kiwnięciem. Zaczepiła go, sama nie wiedząc, skąd się w niej tyle śmiałości wzięło.

— Proszę pana, jeżeli pan ma choć trochę poczucia honoru i sumienia, to nie ośmieli się pan więcej razy przestąpić progu leśniczówki.

Obleśny śmiech znikł z twarzy pana Klemensa przy słowach dziewczyny.

— Dlaczego? — wybełkotał zaskoczony.

Spotkała się z jego wzrokiem, starła spojrzeniem pełnym pogardy.

— Pan wie dlaczego — wymówiła z przyciskiem, a widząc jego uparty, obrażony wyraz oczu, dorzuciła. — Będzie pan ostatnim szubrawcem, pozbawionym cienia ambicji, jeżeli po tym, co panu powiedziałam, będzie pan miał czelność pokazać się w leśniczówce.

Odwróciła się od niego i wyprostowana, wroga poszła ku bramie pałacowej. Siły tu ją opuściły. Drżała na całym ciele tak, że musiała oprzeć się o słup. Choć serce biło jej jak młotem, a w gardle czuła smak piołunu, oczy pozostały suche.

Obejrzał się za nią. Widząc, że stoi, przypuszczał, że chce widzieć, w którą stronę pójdzie. — Psiakrew, małpa — zaklął i skręcił z powrotem w lewo do zabudowań folwarcznych, gdzie w oficynie miał pokoik na górce. I on trząsł się, ale ze złości i upokorzenia. Kopnął stołek, złamał dwie stalówki, nim wreszcie klnąc i złorzecząc, napisał kartkę do pani Romy.

.........Nie mogę przyjść, gdyż szanowna córka pani, panna Natalka zabroniła mi przychodzić do leśniczówki, nazwała szubrawcem......

List ten zapieczętował lakiem, przyłożył pieczątkę herbową. Przypieczętował się herbem Wydra, którym ustawicznie się szczycił.

Pałający wciąż gniewem wyszedł na poszukiwanie chłopca stajennego, przydzielonego mu jednocześnie do usług. Chłopak drzemał rozciągnięty na murawie za stajnią.

Oddał mu list z nakazem doręczenia samej pani leśniczynie.

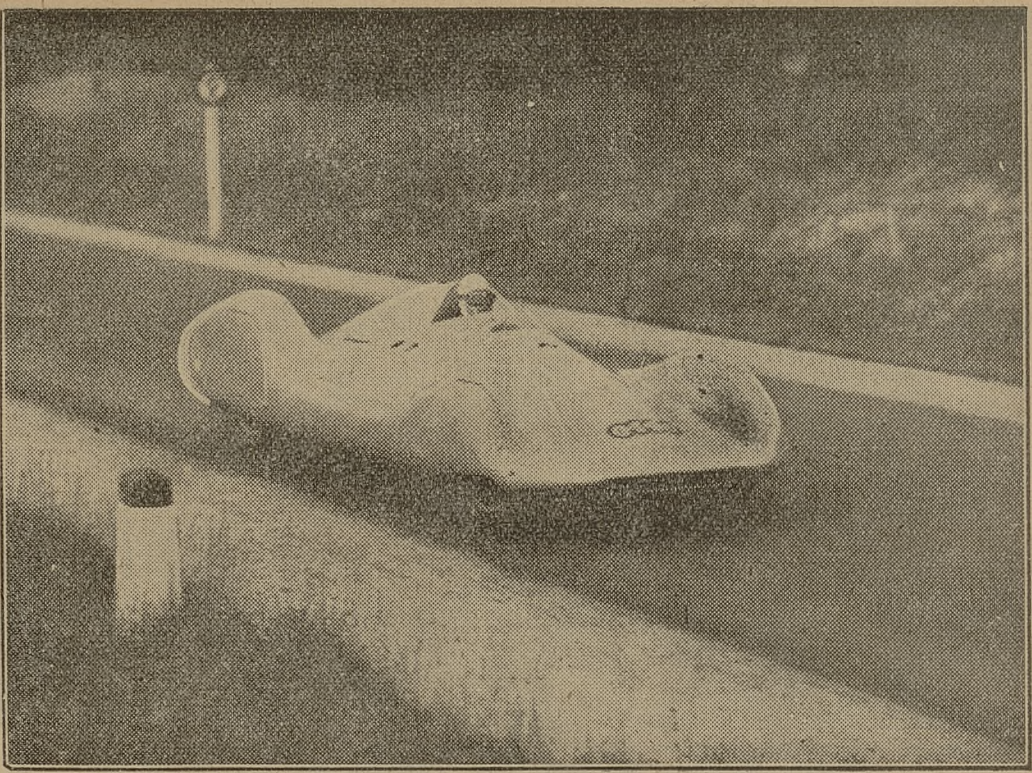
— Masz się sprawić migiem — rozkazał.

Po odejściu chłopca przeszedł się po podwórzu rozjuszony, z uczuciem zwierzęcia, odpędzonego od pełnej misy.

— Psiakrew! smarkula!... powtarzał, spluwując na ziemię. Nie mógł sobie miejsca znaleźć. Z takim trudem wymknął się spod kurateli rządcy, wymyśliwszy nagły interes do leśniczówki, o jakieś bale na podpórkę szopy, a tu przez tę wstrętną wścibską małpę musiał zawrócić.

Zdjął świąteczne ubranie i wrócił do stodoły, gdzie karbowy dozorował młócki żyta.

— Cóż to, nie poszedł pan do leśniczówki — zdziwił się karbowy.



Wóz wyścigowy Auto - Unionu w czasie jazdy treningowej

— A nie, dowiedziałem się, że leśniczego nie ma — skłamał na poczekaniu.

Chłopak zastał panią leśniczynę w powiewnym, batystowym szlafroczku, siedzącą w trzcinowym fotelu na werandzie. Skłonił się nisko, oddał list i zawrócił z miejsca, jak mu przykazał praktykant.

Pani Roma niecierpliwie rozerwała kopertę i wściekła złość na córkę wybiła się bladością na jej okrągłą, pulchną twarz.

— Jak ona śmiała, ta smarkula, ten bękart — szeptała przez zaciśnięte zęby. Ja jej pokażę. Za bardzo się rozpuściła. Myśli, że już dorosła.

Wstyd i upokorzenie przed córką ustąpiły oburzeniu na nią. Zerwała się z fotela i niby lwica w klatce, biegała po werandzie, szarpiąc wstążki szlafroka i gryząc palce w bezsilnej złości. — Ja jej pokażę! Ona go będzie musiała przeprosić, co ona sobie wyobraża, ta smarkata! — odgrażała się.

Wzburzoną, bladą, dyszącą ze złości i pragnieniem wywarcia na kimś swej złości zastała ją pani doktorowa, która w przejeździe do nadleśniczyny, zajechała do leśniczówki.

Na widok gościa pani Roma całą siłą opanowała wzburzenie, zdusiła złość, przybrała wesoły wyraz twarzy. Lubiła doktorową. Były sobie trochę pokrewne usposobieniem i chętnie przebywały w swoim towarzystwie.

— Jadę do nadleśnictwa. Niech pani ze mną jedzie. Jest tam kuzyn pani Korzeniewiczowej, młody adwokat, przystojny i kobieciarz.. że aż..

Oczy jej się zaiskrzyły na tym „aż“. Widać, że była to gorącej krwi niewiasta.

— Czego pani taka blada, pani Romo? zapytała, zatrzymując uważnie wzrok na pobladłej twarzy i drgających nerwowo wargach gospodyni.

Ale ta już opanowała się zupełnie. Nie może przecież wtajemniczać tej plotkarki w swoje kłopoty z córką.

— Już nic, byłam zirytowana na służącą, taki z niej leń i niedbaluch.

— Ma pani rację — przyznała jej doktorowa — te kocmołuchy i garkotłuki mogą do pasji doprowadzić.

Rozumiała i odczuwała dobrze te gospodarskie kłopoty.

A pani Roma uspokojona, podniecona perspektywą poznania nowego, interesującego mężczyzny, była już znów sobą, wesołą, lekkomyślną, ładną kobietką.

Posadziła doktorową w fotelu, przyniosła wody z sokiem, ciastek, osmażanego korzenia tatarakowego, a sama poszła do sypialni.

— Zaraz będę gotowa — obiecywała.

I rzeczywiście ubrała się z rekordową szybkością, jak na nią, bo w pół godziny.

Na oczekiwaną i umówioną wizytę praktykanta wykąpała się z rana, natarła ciało wodą kolońską, uczesała starannie włosy i podmalowała artystycznie twarz, więc pozostało jej tylko nałożenie sukni, bucików i kapelusza.

Lekkie dotknięcie puszkiem tu i tam, kilka kropel perfum i pani leśniczyna strojna, jak miejska dama, ładna jak hurysa z haremu tureckiego sułtana, siadła na bryczkę doktorowej, której usta nie zamykały się przez całą drogę.

Mąż jej był doktorem dominialnym, płatnym przez hrabiego. Wchodził w skład urzędników administracji dóbr, mieszkał w miasteczku w domku administracyjnym, niedaleko pałacu, gdzie u hrabiostwa bywał częstym gościem, jako lekarz i często jako czwarty do bridża, gdyż hrabia, hrabina i ksiądz proboszcz uprawiali z całą namiętnością tę grę, wiedział więc wszystko, co się działo w pałacu i okolicy, i jak każdy mąż dzielił się z żoną tymi wiadomościami.

— Wie pani, że Nel zostanie do zimy w Zakopanem, a w grudniu hrabiostwo mają go odwieźć do Vevey, do zakładu doktora Gawrońskiego, bo podobno stale gorączkuje.

— Kara Boża — pomyślała z złośliwą uciechą pani Roma.

— Kontroler nie będzie — ciągnęła dalej swe wiadomości doktorowa. — Zadarł o coś z plenipotentem, no i wylał go. Podobno bierze w dzierżawę folwark Kości,



Zabłąkana w śródmieściu Londynu kaczka z kaczętami przechodzi swobodnie przez ulicę dzięki uprzejmości policjanta, który wstrzymał cały ruch uliczny

bo ten, ożeniwszy się bogato, zamieszkał w majątku żony, gdzieś w Nowogrodzkim.

— Tylko taki safanduła, jak mój mąż nigdy niczego się nie dorobi — sarknęła z jadem niechęci do męża w głosie.

— No, no, pani Romo — mitygowała ją doktorowa — tak tam źle u was nie jest. A te najładniejsze dwa domy w miasteczku, a ten kawałek ziemi koło Brodczy, to nic? No i pani też ma podobno ładną kamieniczkę w Warszawie.

— Mógłby mieć dwa razy tyle — sarknęła.

— Nie narzekaj pani, bo ci nie uwierzą. A gdzie dzieci? — zapytała, przeskakując na inny temat.

— Bliźniaczki pojechały z ojcem, Natalka poszła do pałacu, gdyż hrabina przysyłała wczoraj po nią.

— Natalka to już duża panna — zauważyła doktorowa — niedługo już chyba kończy pensję.

— Za rok — odpowiedziała pani Roma niechętnie.

Nie lubiła, gdy jej przypominano wiek najstarszej córki. Szesnaście lat! Boże mój, jak czas zleciał. Przeszła młodość, spędzona marnie w tym lesie, nie przynosząc nic godnego pamięci. Buntowała się. — Młodą jeszcze jestem, mam dopiero 37 lat. W tym wieku kobiety są najbardziej ponętne. Tak utrzymują Francuzi, a oni znają się na rzeczy i na kobietach.

— Co dalej będzie robić — dopytywała się gadatliwa doktorowa.

— Nie wiem, chce się kształcić w muzyce, wstąpi może do konserwatorium. Nie zastanawiałam się jeszcze nad wyborem fachu dla niej.

Rozmowa urwała się. Wjechały na groblę, porosłą sitowiem. Miękka gleba uginała się pod kołami, konie zapadały po kolana, to przednimi, to tylnymi nogami, co je wprowadzało w stan podrażnienia, wózek chwiał się ustawicznie na obydwie strony. Zajęte własnym bezpieczeństwem nie miały czasu na rozmowę.

. . . .

Pani Muszka Korzeniewiczowa przywitała je z wylaniem. Poznanianka, rzucona losem w błota poleskie, nudziła się szalenie, nie umiała dojrzeć uroku Polesia, piękna tych rzek, rozlanych szeroko na łąki, tych jezior po uroczyskach leśnych, zarosłych liliami i wodorostami, tych bezmiernych połaci ziemi, zielonych od wczesnej wiosny do mrozów, tych lasów nieprzebytych, w wodzie rosnących, tajemniczych, dziewiczych. Ona wolała przestrzeń otwartą, rzeki o wysokich brzegach, pola urodzajne, wsie jedna obok drugiej, szosy, miasteczka brukowane, a tu los ją zapędził do błot, jak żabę. Nie traciła humoru ani tuszy, a dziś szczególniej gościom była rada. Letnika miała, młodego adwokata, krewniaka męża. Bała się, że nudził się w tej głuszy, choć sam z tych stron pochodził.

Prowadziła je przez stołowy pokój na werandę, gdzie był zastawiony podwieczorek.

Na powitanie ich podniósł się pan domu i gość, wysoki, smukły mężczyzna, lat koło trzydziestu.

Po przywitaniach, przedstawieniu, usadowiono przybyłe za stołem.

Panią Romę posadzono między gospodarzem, a młodym człowiekiem. Doktorowa usiadła przy pani domu, bo miała do niej pilny interes o służącą, o którą nadleśniczyna obiecała jej się postarać.

Nadleśniczy co minutę całował panią Romę po rękach, podsuwał jej przysmaki, prawił rubaszne komplementy. Złe języki mówiły, że parę lat temu, a może dziesięć, coś tam było między leśniczyną, a nadleśnym. Że w chmurną, ciemną noc świętojańską coś tam się im przydarzyło na uroczysku Omelskim, ale że nadleśny od lat ośmiu był żonaty i zakochany w swej Muszce, którą poznał na Targach Poznańskich w hali maszyn rolniczych, więc „co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr".

On był mężczyzną, a jako mężczyzna, skory i łasy, ona zaś należała do rzędu kobiet, niechcących wyjść z obiegu, z orbity zainteresowań i pożądań męskich.

Młody adwokat Juliusz Werenicz z tych, co to z rodu Ogończyków się wywodzili i którego praszczur z ziemi kieleckiej przywędrował na Polesie, by polskość i kulturę nieść dziedzictwu Jagiellonów.

Przyglądał się z upodobaniem pani Romie. Mile zaskoczyła go jej strojna sylwetka, jej delikatne, starannie wypielęgnowane ręce, dobre perfumy i gustowna suknia, pociągnęła rozkwitła uroda, pełna kobiecości i zalotności.

Zachowanie się pana domu dawało do zrozumienia, że dostęp do jej wdzięków nie jest zbyt utrudniony.

Z żalem podniósł się od stołu nadleśniczy, głośno cmokając ręce pań, wzdychając wsiadł na linijkę i pojechał na objazd.

Pani Muszka z doktorową poszły obejrzeć perliczki, które były jej chlubą.

A pani Roma i adwokat zostali sami.

— Ma pan papierosy? — wyciągnęła do niego białą rękę o różowych paznokciach.

Skwapliwie podał jej papierosa i zapalił zapałkę. Ujęła jego palce w swoją rękę i przytrzymała, niby naprowadzając ogień na tytoń.

Puściwszy kłąb dymu, spojrzała na niego przymrużonymi oczami.

— Mówiono mi już, że z pana ładny chłopiec, ale nie wyobrażałam sobie, żeby aż tak ładny!...

Zaczerwienił się, zaskoczony. Lecz zażenowanie to trwało tylko moment.

— No, to obydwoje jesteśmy zaskoczeni.

Uśmiechnęła się zalotnie:

— Podobam się panu?

Spojrzał jej w oczy znacząco.

— Wątpi pani?

— Nie to ładne, co ładne... — odpowiedziała, mrużąc zalotnie oczy.

— Ale i ładne i podoba się — podkreślił tonacją głosu i spojrzeniem.

— Bałamut z pana — zaśmiała się, rada z konkiety.

— A z pani niby nie — przekomarzał się, całując ją w dłoń długo, pożądliwie.

— Ależ też pan obcesowy — droczyła się.

— Do śmiałych świat należy i zwycięstwo.

— Na śmiałości panu nie zbywa......

— Toteż i osiągnę zwycięstwo!

— Czego? — pytała, udając, że nie rozumie.

— Wzajemność pani.

— Spieszy się panu, jak widzę — droczyła się.

Rozłożył ręce:

— Za tydzień kończy się już mój urlop i nie mogę go sobie przedłużyć — westchnął. — Miesiąc, to najdłuższy termin, na który sobie pozwolić może początkujący adwokat.

— A gdyby tak ktoś, jaka śmiła osóbka bardzo poprosiła?

Uśmiechnął się i przywarł znów wargami do jej ręki, tym razem całował wierzch ręki, wodząc ustami aż do łokcia.

— Ten ktoś jest bardzo rozsądną i wyrozumiałą osóbką i wie, że gdy nie można, to nie można, ale gdy owa osóbka będzie miłą dla ładnego chłopca, to może postara się znów wpaść w te strony, by odwiedzić przemiłą, prześliczną panią Romę.

Uśmiechnęła się zadowolona, rozmowa była w jej guście.

— Kiedy pan wraca?

— Za tydzień — powiedział z udanym smutkiem w głosie.

— Tydzień! Dużo wody może upłynąć w tym czasie w naszych poleskich rzekach — zauważyła sentencjonalnie.

Nachylił się nad nią z błyskiem szelmowskim w ciemnych oczach.

— Więc mogę mieć nadzieję — pytał.

— Zobaczymy.... zobaczymy.. co chłopiec umie — obiecywała.

— Będę jutro u pani — szepnął, bo słyszał z podwórza głosy pani Muszki i doktorowej.

— Dobrze, o czwartej — odszepnęła, a głośno spytała.

— Jak się panu podoba Polesie?

— Śliczne — odpowiedział z entuzjazmem, a dla myśliwego istny raj.

— Nie znudzili się państwo, wszak prawda? — spytała pani Muszka, uśmiechając się domyślnie.

— Jak dotąd nie, ale nie ręczę, czy bym nie usnęła, gdyby panie zabawiły dłużej w kurniku — mówiła pani Roma, wstając i idąc im naprzeciw.

— Niech się pan obrazi — żartowała doktorowa.

— Na piękne panie i na królowe obrażać się nie wolno — zacytował, gdzieś czytany aforyzm.

* * *

A tymczasem Natalka w towarzystwie pani Szustakowej szła do pałacu.

Ujrzała ich z daleka hrabina i wyszła im na spotkanie, szczupła i zręczna, jak młoda panna, o twarzy nie tyle ładnej, ile miłej i rozumnej.

— Cieszę się, że panią widzę, panno Natalko — przemówiła na powitanie, wyciągając do niej życzliwym ruchem rękę.

Pani Szustakowa dygnęła dosyć niezręcznie, ale za to bardzo uniżenie i zawróciła do siebie. Nie była już potrzebna, spełniła swoją misję.

Natalka i hrabina spacerowały jakiś czas po parku i ogrodzie. Wszystko to niosło Natalce wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa.

Przeszły na północną werandę. Panował tu przyjemny chłód i cień.

Pani gra? — spytała hrabina Natalkę.

— Gram, pani hrabino — odpowiedziała.

— Ach, jak to dobrze! ucieszyła się — Wobec tego chodźmy do salonu.

Z wrodzonym wdziękiem wielkiej damy poruszała się Natalka wśród pięknych staroświeckich mebli, nie okazując najmniejszego onieśmielenia. Wszystkie te stoliki, szafeczki, serwantki, rzeźby, obrazy, figury były jej dobrymi znajomymi, przyjaciółkami. Spędzała wśród nich w towarzystwie łagodnej, dobrej staruszki całe godziny, nie nudząc się wcale, a do fortepianu w rogu pokoju uśmiechnęła się jak do kogoś bliskiego.

— Gdzie się pani uczy — pytała hrabina, nalewając herbatę ze srebrnego imbryczka.

— Na pensji hrabianki Plater.

— Dobrze się pani tam czuje? — dopytywała się dalej.

— Bardzo dobrze. Mam dużo miłych koleżanek, nauczycielek, gabinet doświadczalno-przyrodniczy, laboratorium.

— Jak widzę lubi pani naukę — zauważyła przyjaźń hrabina.

— Nie wiem, chcę dużo umieć, ale żebym specjalnie oddawała się nauce, to nie. Wolę muzykę i chętniej się uczę gam i etudes niż lekcji.

— Bardzo się ucieszyłam, że pani gra, wobec tego będziemy grywać na cztery ręce.



Chińczycy tracą szpiegów w obecności tłumów ludzi, by dać odstraszający przykład

Otworzyła fortepian i wyciągnęła nuty.

— Może spróbujemy od razu — prosiła.

Natalka nie drożyła się, ani certowała. MWiedziała, że gra nieźle, uważana była za jedną z pilniejszych uczennic, przyzwyczajona była grać na popisach.

Nie obejrzały się, gdy minęła godzina. Lokaj niósł podwieczorek. Wszedł hrabia.

— Jestem uszczęśliwiona z poznania panny Natalki. Gra lepiej ode mnie — mówiła hrabina do męża.

Hrabia podał dziewczynie rękę z życzliwym uśmiechem. Był to wysoki, elegancki, przystojny starszy pan, z siwiejącymi na skroniach włosami.

Przy podwieczorku przyglądał się Natalce, jej harmonijnym ruchom, jej naturalnej swobodzie z domieszką dziewczęcego zażenowania.

— Moja krew — myślał z przyjemnością. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia, że nie uznał jej za córkę, uczuwał jednak coś na kształt dumy, że tak mu się udała, ale mieć nawet taką córkę za cenę małżeństwa z panią Romą! Nie, za nic, zbyt wielka i wygórowana byłaby to cena! Dziewczynka wyglądała zdrowo, była ładna, dobrze ułożona, starannie ubrana, widać, że krzywda jej się nie dzieje i to dzięki jego opiece. Czegoż więcej trzeba? Ładna, inteligentna, mająca posag może wyjść dobrze za mąż...

Hrabina nieznacznie obserwowała męża. Że Natalka jest jego córką, wiedziała o tym od początku. Takie rzeczy nie dadzą się ukryć przed sąsiadami, a ona przecież była jedną z bliższych sąsiadek. Kochała się w nim prawie od dzieciństwa. Gdy podrosła wyznali sobie miłość, ale rodzice nie chcieli słyszeć o wczesnym małżeństwie córki. Dla dokończenia edukacji wysłali ją do Włoch, Szwajcarii, na południe Francji. Pół roku nawet bawiła na modnej pensji niedaleko Brighton w Anglii.

Podczas jej pobytu z matką w Saint Luc stało się to. Zresztą sam się przyznał i prosił o przebaczenie. Zbyt go kochała, by nie przebaczyć. Nie czuła żalu do dziecka, ani niechęci i naprawdę szczerze ucieszyła się z poznania jej i z tego, że dziewczynka była taka ładna. Gdy żyła stara hrabina bywała rzadko w Leśnym Dworze, gdyż mały Fred był taki chorowity od urodzenia, że musiała bawić z nim stale w górach. Dopiero w tym roku z powodu gruntownego remontu pałacu w Woroninie przenieśli się na lato do Leśnego Dworu.

Po podwieczorku hrabina zabrała Natalkę do parku, oprowadziła ją po cieplarni, pokazała kucyki Jerzyka:

— Biedactwo taki chorowity, ale doktór mówi, że to przejdzie i że za rok, dwa będzie zdrów zupełnie. Tęskni za nami, my za nim, ale cóż robić — westchnęła.

Odesłała ją powozikiem po zachodzie słońca.

Natalka jechała do domu z drżeniem serca na myśl o spotkaniu się z matką.

Odetchnęła z ulgą, gdy się dowiedziała od służącej, że matki nie ma w domu. Nie wróciła jeszcze z Krzywicz. Za to dziewczynki, które nudziły się pod nieobecność ojca i matki powitały ją radośnie. Musiała im opowiedzieć o wizycie ze wszystkimi szczegółami. Nadszedł leśniczy z kancelarii. Usiedli wszyscy czworo na stopniach ganku. Leśniczy opowiadał im o wojnie, o bolszewikach, o radości, gdy ujrzał pierwszych polskich żołnierzy, o swoim praszczurze Samuelu Szołomickim herbu Hippocentaurus, towarzyszu pancernym z 1717 r., o dziadku Antonim Szołomickim, powstańcu z 1863 roku, który pod wsią Kołodno w czasie walki naczelnika Romualda Traugutta z Moskalami dostał się do niewoli i zesłany został na Sybir i dopiero po latach 15 męki i tęsknoty, ułaskawiony wrócił po to tylko, by w rodzinnej wsi swe stare, sterane ciężką pracą i poniewierką kości złożyć na wieczny odpoczynek w ukochanej przez siebie ziemi, na wieczny odpoczynek i wieczną ludziom pamiątkę i przykład.



Dzieci zażywają swobody na wolnym powietrzu pod kierownictwem doświadczonej wychowawczyni.

— Z zagonowej szlachty jesteśmy, żaden z nas uczonym nie był, ale klejnot szlachecki szanowaliśmy zawsze, stawiając przed wszystkim ojczyznę, uczciwość i honor.

Zwrócił się do bliźniaczek i położył im ręce na główkach:

— Pamiętajcie sobie dzieci, że choć prosty człowiek jestem, ale uczciwe wam imię zostawiam, niesplamione żadną podłością, czyste, uczciwe nazwisko, przekazane mi przez moich rodziców i dziadów. Pamiętajcie dzieci, żeby żadna plama na nie nie padła, żeby tarcza herbowa Samuela i Antoniego tak samo lśniła czystością, jak i za ich czasów.

W odpowiedzi przytuliły się do niego wszystkie trzy, jakby mu ślubowały to w duszy.

Z lasu szedł jakiś chłód wieczoru, gdzieś w trawie odzywał się świerszcz.

Było im tak dobrze i przyjemnie, że dziewczynki głośno zaprotestowały i z niechęcią i szczerym żalem podniosły się z ganku, gdy kazał im iść spać.

Jedna tylko Natalka skwapliwie skorzystała z rozkazu. Bez słowa protestu pocałowała ojca i wziąwszy dziewczynki za rączki poprowadziła je do pokoju, pomogła im się rozebrać, zgasiła lampę i sama czym prędzej zrzuciła z siebie ubranie, by jak najprędzej znaleźć się w łóżku, bo unikała tym sposobem spotkania z matką.

* * *

Chociaż tak starannie unikała matki, uciekała od niej, mimo to przyszła chwila, że musiała przed nią stanąć.

Nazajutrz rano, jak tylko leśniczy wyszedł z domu, zawołała Natalkę. Zawróciła ją z drogi służąca, oznajmiając, że pani leśniczyna kazała jej przyjść.

Czekała na nią w swoim pokoju. Pierwsza złość minęła ją i dziś miała jej tylko zrobić uwagę, że nie ma ona prawa odpraszać gości matki i w ogóle rozporządzać się w domu jak szara gęś. Wczoraj była wściekła na córkę, ale wizyta w nadleśnictwie i obiecujący flirt z Julianem Werenicem nastroił ją pobłażliwie, a nawet była trochę rada, że praktykant nie przyszedł. Mogła go zastać doktorowa i powstałyby niepotrzebne plotki, a pani Roma bardzo dbała o pozory.

Natalka stanęła przed matką z głową podniesioną wysoko, z bijącym mocno i trwożnie sercem, ale na pozór harda i nieustępliwa. I te jej oczy zimne, patrzące na matkę z niemym wyrzutem i ta mina wyniosła wytrąciły panią Romę z równowagi, obudziły ze zdwojoną siłą wczorajszy gniew. Podeszła do córki groźna, nastroszona, dygocąca złością:

— Dowiedziałam się, że spotkawszy wczoraj pana Klemensa w lesie, zabroniłaś mu bywać u nas. Kto cię upoważnił do tego i na jakiej podstawie?

Natalka pobladła jeszcze bardziej, lecz odpowiedziała spokojnie ,nawet głos jej nie drżał i nie łamał się na słowach.

— Powiedziałam mu, żeby się nie ważył przychodzić do nas, szczególniej gdy nikogo nie ma w domu, bo tatuś sobie tego nie życzy.

— Ojciec — powtórzyła pani Roma z pogardą. — Czyj?, bo nie twój...

— Jakto nie mój? — zdziwiła się dziewczynka.

Chęć dokuczenia stojącej przed nią córce przemogła w jej duszy nad wszystkim innym. Bluznęła prawdą na stojącą przed nią dziewczynkę ordynarnie, brutalnie.

— A nie twój, bękarcie jeden, pięć tysięcy wziął za to, że przyznał cię za swoje dziecko. Za pięć tysięcy dał ci nazwisko. I tak za dużo mu hrabia zapłacił, takiemu chamowi. Do miłości do pieszczot dobrą byłam, a gdy trzeba było wziąć na siebie odpowiedzialność, by się odczepić zapłacił temu chamowi, żeby mu zdjął kłopot z głowy. Za marnych kilka tysięcy mnie sprzedał jak niewolnicę, jak bydlę jakie. Czy myślisz, że siedziałabym tu w tej norze z tym prostakiem, gdyby nie ty — zakończyła dysząc ciężko z dławiącej ją złości.

— Wobec tego żałuję, że się urodziłam — powiedziała cicho, nie patrząc na matkę.

— Ja również — odrzuciła pani Roma.

Natalka jakby nie słyszała jej słów ciągnęła dalej, wpatrzona szklistymi, jakby martwymi oczami.

— A jeszcze więcej żałuję, że jesteś moją matką.

Na te słowa pani Roma rzuciła się ku córce i uderzyła ją z całej siły w twarz. Sama przeraziła się tego czynu, ale cofnąć go już nie mogła, ani wymazać z pamięci. Nie żałowała tego.

— Wstrętna, harda, bezczelna dziewczyna. Rozpuściła ją stara hrabina, rozwydrzyła i smarkata myśli, że jej wszystko wolno, nawet ubliżać swej matce.

Natalka spuściła oczy i wyszła z pokoju. Policzek ten przyjęła jako słuszną karę za swe odezwanie się niedopuszczalne do matki. Ale słowa matki i policzek, który otrzymała, stały się barierą, co na zawsze odgrodziła je od siebie.

Pani Roma po wyjściu córki rozpłakała się. Była rozżalona sama na siebie, że wygadała przed dzieckiem swoją, dotąd zazdrośnie chowaną w głębi serca tajemnicę, ale ta dziewczyna działała jej na nerwy, była bolesnym przypomnieniem jej lekkomyślnej przeszłości. Zachciało jej się hrabiostwa, królowania w pałacu, a została leśniczyną w zapadłej dziurze. Myślała, że gdy im powie, matce i synowi, że jest w ciąży, gdy zagrozi skandalem, to matka pobłogosławi, a syn zawiezie karetą do ołtarza. A tymczasem na tę wiadomość hrabina odprawiła ją, a kochanek wydał za swego leśniczego, płacąc mu pieniędzmi za przysługę, za to, że hrabiowskiego bękarta usynowił.

Młoda była i głupia. Osiemnastoletnią hrabina przywiozła ją sobie z Warszawy jako pannę do towarzystwa. Jechała dumna, radosna, pełna marzeń. Z uciechą opuszczała dom ojca. Miała macochę, dwie siostry przyrodnie, ojca urzędnika magistrackiego. Niebiedny był, pensję dobrą brał, domek wybudował własny na Pradze. Nie dał jej skrzywdzić macosze, posyłał na pensję do Warszawy, kazał uczyć muzyki, śpiewu, francuskiego. Siostry zazdrościły jej urody i szczęścia do ludzi. Chciała ich olśnić świetną karierą, zaimponować. Przeliczyła się. Wielcy panowie dali odczepnego pięć tysięcy na wiano, pięć tysięcy jemu do ręki za usynowienie dziecka. A on pokornie wziął ,jeszcze pokorniej podziękował. Wiadomo cham. Z szlachty się wywodził, herbu Hippocentaurus, a w chłopskiej chacie się urodził, w łapciach jak czubaryk chodził. Jej ojciec tylko „Ogarek" się nazywał, herby jedynie na obrazkach widywał, a w pokojach się chował, do szkoły boso nie chodził.

Stara hrabina pychą się nadęła, ze swego domu niemoralną dziewczynę precz pędziła:

— Ja dziewczyny złego prowadzenia trzymać nie mogę. Chcesz honor uratować, wyjdź za Szołomickiego. Porządny, uczciwy człowiek nie będzie wytykał twego zapomnienia się.

Dała tysiąc rubli na wyprawę, krowę, konia na gospodarstwo. Wesele sprawiła. Wojna była, od Warszawy odcięci zostali, nikt z rodziny na ślubie ani przy urodzeniu się Natalki nie był.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ROBERT GOFFIN 2)

KAROLINA

CESARZOWA MEKSYKU

EPOPEJA HABSBURGÓW

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA
IRENA MACIEJEWSKA

śpiewają upojne walce naddunajskie, które podbiły serca wszystkich zakochanych Europy.

Wszystko to jest bardzo odległe w chwili, gdy księżniczka Karolina zostaje narzeczoną arcyksięcia. Królewna wpatruje się z miłością w portret ukochanego, na którym Maksymilian tak pięknie wygląda w czapce admirała, z ręką dumnie wsuniętą między złote guzy swego munduru. Marzące, lecz wyniosłe jak szczyt ośnieżonych gór, oczy, przypominają o Habsburgach, o Franciszku Józefie, o arcyksięciach Ludwiku Wiktorze i Karolu Ludwiku.

W maju 1857 roku, zakochana księżniczka jest tak pochłonięta marzeniami o swym pięknym arcyksięciu, który uczyni ją królową, a może nawet cesarzową, iż nie jest w stanie skupić myśli, gdy klęcząc w kaplicy usiłuje pogrążyć się w modlitwie i w czytaniu „Naśladowania Chrystusa".

Jakaż trudna rola ją czeka, jaka skomplikowana przyszłość: bratowa cesarza Austro-Węgier! Dwanaście państw, wchodzących w skład Cesarstwa, dwanaście różnorodnych języków! Czyż trzeba będzie nauczyć się języka czeskiego o przeraźliwych spółgłoskach, a może węgierskiego o splątanych azjatyckich sylabach? Ach, właśnie rodzina cesarska przebywa teraz w Budapeszcie z arcyksiężniczką Gizelą, której stan zdrowia tak niepokoi cesarzową Elżbietę!

Mówią, iż cesarzowa jest najpiękniejszą amazonką świata. W Wiedniu wszyscy wiedzą jak pięknie dosiada swych bułanych wierzchowców. Może Karolina będzie mogła mówić do niej po imieniu i nazywać ją Sisi, jak jej najbliższa rodzina? Księżniczkę belgijską niepokoją jednak trochę te słynne konne eskapady przyszłej szwagierki. Podwaja więc godziny lekcji w ujeżdżalni i z zapałem uczy się języka włoskiego, gdyż już wie, że zostanie wicekrólową państwa włoskiego, wchodzącego w skład Cesarstwa Austriackiego.

Piękna i ciepła jest wiosna w wielkim parku Laekeneńskim. Dnie są tak długie, jak gdyby broniły się uporczywie przed nadejściem nocy. Jakiż piękny jest świat tej wiosny! Krzaki róż uginają się w cieplarniach pod ciężarem kwiatów; po stawie pływają łabędzie o niepokalanej bieli. Karolina marzy w zamyśleniu pod drzewami parku, w którym upłynęło jej dzieciństwo. Myśli o tym, iż wkrótce opuści to wszystko, co tak bardzo kochała; nie będzie już więcej widziała długich welonów deszczowych, snujących się nad polami Brabancji, ani fioletowych mgieł okrywających doliny; nie będzie już więcej przejeżdżała konno wzdłuż cienistych alei bukowych wśród jesiennego zapachu grzybów i świeżego chleba.

Życie składa się z chwil, które przemijają i z tych, które nadejdą nieznane a oczekiwane. Tam w Wiedniu też są mgły, okrywające przedmieścia, jest też śnieg, zaścielający białym całunem pałace Laxenburgu; Karolina widzi w swej wyobraźni okryte szronem świerki i lękliwe sarenki, liżące korę sztywnych, ogołoconych drzew.

O Boże, miej litość nad biednymi, cierpiącymi zwierzętami, i nad głodnymi ludźmi, i nad dziećmi, które zabija epidemia, i nad tymi nieszczęśliwymi, którzy czyhają na życie swych władców i których się traci o świcie! O Boże! miej w opiece mego narzeczonego arcyksięcia Maksymiliana i jego biedną, chorą siostrzyczkę Gizelę.

Wszystko co jest poza kręgiem jej miłości nie ma znaczenia. Cóż ją obchodzi, że król bawarski był obecny na wielkiej rewii na Polu Marsowym u boku Napoleona III i cesarzowej Eugenii? Cóż ją obchodzą wspaniałe przyjęcia w St. Cloud? I to, że wielki książę Konstanty tańczył w Pre-Catalan, i to, że Disraeli przemawiał w Izbie Angielskiej, domagając się kategorycznych wyjaśnień od rządu! Maksymilian w początku czerwca uda się na Maderę i do Florencji, a potem popłynie z Livorno do Lizbony, by spędzić kilka dni na dworze portugalskim. Czy będzie znowu myślał o swej zmarłej narzeczonej i o utraconym królestwie? Stamtąd pojedzie do Londynu i wreszcie 20-go czerwca — o Boże jakże to jeszcze daleko! — przybędzie do Brukseli.

Czy zjawi się w mundurze oficera czy też admirała, a może włoży jakiś bardziej uroczysty strój? A propos, Karolina czytała w przeglądzie mody, iż w Paryżu młodzi ludzie ubierają się teraz bardzo dziwnie i śmiesznie. A hrabina de Reineville pisała: „Większość z nich wygląda jak uczone małpki w krótkich kurteczkach, krótkich spodenkach i kamizelkach, w małych kapelusikach na głowie, z małymi laseczkami w ręku, ale za to z długimi na 10 centymetrów wąsami".

Jakież to śmieszne, ale moda wiedeńska jest przecież zupełnie inna, bardzo poprawna! Mała księżniczka jest również bardzo przejęta kwestią swej wyprawy, gdyż Paryż lansuje i dla pań wręcz nieprawdopodobną modę: zamiast staników będzie się nosić teraz całe suknie!

Hrabina de Reineville głęboko zaniepokoiła księżniczkę dalszymi relacjami z Paryża: „Dom mód Gagelin-Opigez, który nadaje ton modzie i stwarza nowe modeli w takiej ilości jak wiosna kwiaty, lansuje trzy nowe kroje sukien, które wkrótce będzie się nosić we wszystkich częściach świata: „Strój niewiarogodny", „le Vertugadin" i „Staniczek małej pensjonarki". „Strój niewiarogodny" ma z tyłu rodzaj małego, rurkowatego ogonka, kończącego się na wysokości bioder. Z przodu stanik przechodzi w kamizelkę. Spódnica jest zakończona dwoma lub trzema falbanami. „Le Vertugadin" jest to wielka toaleta z antycznej mory lub tafty. Powstał również nowy strój kąpielowy, składający się z trykotu Biarritz oraz wielkiego burnusa z kaszmiru czarnego w białą lub szarą kratę, obrzeżonego szkocką taftą i ozdobionego wielkim chwastem algierskim, tak dużym jak chwast przy sznurze dzwonka".

Trzeba będzie powiedzieć o tym wszystkim krojczyni magazynu Polet & Deisser, który przygotowuje wyprawę dla młodej narzeczonej.

Jak strasznie wolno mijają dni! Czyż 27 lipiec nigdy nie nadejdzie? Cesarz niemiecki wyjechał z małżonką do wód w Kissingen; król bawarski przebywa wciąż w Paryżu i podobno bardzo dobrze się tam czuje; cesarzowa rosyjska bawi w Szwajcarii; największą sensacją Paryża jest obecnie jakaś niebywała aktorka Rachel, występująca w Comédie Francaise.

Nadchodzi wreszcie dziesiąty czerwiec. Maksymilian polecił przygotować w hotelu Belle Vue w Brukseli apartamenty dla pięćdziesięciu osób swej świty.

Więc to prawda, iż jest jego narzeczoną, iż opuści wkrótce, stworzone przez jej ojca państwo, by odjechać do innego kraju, do wspaniałego imperium, przez które przepływa błękitny Dunaj!

Osiemnastego czerwca, na miesiąc przed wielkim dniem, przyszły szwagier Karoliny, cesarz Franciszek Józef, urządził w Wiedniu wielką rewię wojskową, w czasie której przygrywały wszystkie orkiestry pułkowe. Jakaż to wspaniała uroczystość! Najjaśniejszy Pan, cesarz Austrii i Węgier, przed rozpoczęciem rewii, wysłuchał w otoczeniu kawalerów orderu Marii Teresy, mszy polowej, a wie-

czorem odbył się w Schoenbrunnie świetny bankiet dla stu dwudziestu osób, opromieniony obecnością pięknej cesarzowej Sisi, podziwianej przez wszystkich dygnitarzy austro-węgierskich. W przyszłości, ona, Karolina, będzie może również brała udział w tych imponujących ceremoniach!

Zbliża się połowa lipca; księżniczka Karolina spędziła jakiś czas w Anglii i oto powraca z podróży. Godziny biegną już teraz coraz szybciej. Karolina żyje w ustawicznym napięciu nerwowym. ze wszystkich stron Belgii napływają ślubne podarki. Do Brukseli zjeżdżają zaproszeni goście. Królowa Amelia, przybywszy do pałacu w Laeken, serdecznie ucałowała zarumienioną księżniczkę, która nadaremnie usiłowała uciszyć gwałtowne bicie swego serca.

Dwudziestego czwartego lipca, w promienny dzień letni, przyjeżdża specjalnym pociągiem z Kolonii, Maksymilian. Fanfary, wiwaty, powitania, okrzyki tłumów! Arcyksiążę wspaniale wygląda w szamerowanym mundurze, przepasany wielką wstęgą najwyższego odznaczenia.

Narzeczeni witają się banalnym frazesem w pałacu Laeken, otoczeni rodziną i gronem gości. Nazajutrz Karolina budzi się o świcie, szczęście wypełnia całą jej istotę. Lecz znowu liczna rodzina, wśród której znajduje się książę August Sas-Koburg ze swymi kuzynami; wysocy dygnitarze, sztywni i nieruchomi ministrowie. Trzeba powtarzać ceremonialne słowa, wykonywać nakazane etykietą ruchy, trzeba mówić do Maksymiliana „Wasza Wysokość", podczas gdy chciało by się wziąć go po prostu pod ramię, by czuć przy sercu jego rasową rękę Habsburgów i odejść z nim w głąb parku, szepcząc tkliwe słowa miłości, jak zwykła para zakochanych.

W sobotę cały naród święci wielką uroczystość, dzwony kościołów stolicy Belgii oznajmiają radosną nowinę; rozdano czternaście tysięcy chlebów najuboższej ludności miasta. W niedzielę, po wielkiej mszy urządzono mecz piłkarski i strzelanie z kuszy. Przyjęcia, gratulacje, życzenia, pozdrowienia z dalekich stron, a serce siedemnastoletniej dziewczyny drży ze szczęścia i trwogi.

Wreszcie nadchodzi upragniony dzień. Karolina wygląda czarująco w białej jedwabnej sukni, haftowanej srebrem; długi welon z koronek, przytrzymany diademem z kwiatu pomarańczy, opada do jej stóp; Maksymilian ma na sobie galowy mundur austriackiego admirała. Ślub cywilny odbywa się w błękitnej sali brukselskiego pałacu, po czym związek zostaje pobłogosławiony w kaplicy przez kardynała Malinu. Wśród zebranych można zauważyć królową Marię Amelię, księcia Alberta Sas-Koburga, księcia małżonka angielskiego, księcia panującego Sas-Koburg-Gotha, arcyksięcia Karola Ludwika, namiestnika tyrolskiego, arcyksiężnę Małgorzatę, księcia Augusta Sas-Koburg, księżniczkę Orleanu, Klementynę i wiele innych królewskich wysokości. Królewna belgijska Karolina jest już arcyksiężnę i wicekrólową.

Nazajutrz król Leopold I, urządza wielki galowy obiad, po którym odbywa się wenecka zabawa w obecności 60.000 widzów. O piątej po południu młodzi małżonkowie przejeżdżają powozem przez miasto. Rozradowane tłumy poddanych pozdrawiają po raz ostatni swą królewnę.

Belgijska księżniczka Karolina jest wreszcie żoną swego ukochanego Maksymiliana. Teraz może mu już powiedzieć wszystkie słowa miłości, które płoną w jej sercu, teraz jest już blisko niego na całe zycie, oddaje mu się cała, niepodzielnie, z ufnością i wiarą w przyszłość.

Piątek. Ciągną się dni nudnych ceremonii. Trudno, nie na darmo jest się arcyksiężną! A było by tak dobrze uciec gdzieś daleko od tego wszystkiego ze swym ukochanym. Piątek, to dzień wyjazdu do iż skończyło się już bezpowrotnie radosne dzieciństwo, iż będzie musiała opuścić tych wszystkich, których kochała, iż już nigdy nie usłyszy o świcie sygnaturki pałacowej kaplicy... Klęcząc w krypcie u grobu swej matki Marii Ludwiki, opiera z łkaniem głowę na piersi męża, tego niedawno jeszcze obcego człowieka, który prowadzić ją będzie teraz w nieznaną przyszłość. Karolina, księżniczka belgijska, poświęca wszystko dla Maksymiliana, bo kocha go, bo on jest jedyną treścią jej życia.

Trzydziestego lipca młodzi małżonkowie przejeżdżają przez Verviers. Ostatnie wiwaty zamierają w dali. Pociąg w blasku słońca przejeżdża granicę. Oto nowy nieznany kraj! Oto niedawno zaślubiony, nieznany mąż! Żegnaj mała księżniczko, żegnaj Belgio! Karolina wchodzi w nowe życie.

III.

W pędzącym przez państwo niemieckie pociągu jedzie para zakochanych, którzy uciekają od ceremonii, etykiety i konwenansów. Granica pozostała już daleko za nimi, Belgia zapadła się w przeszłość. W czasie postojów na stacjach, rozbrzmiewających niemiecką mową, młodzi małżonkowie wyglądają przez okna wagonu. Karolina jest zdziwiona, nie słysząc więcej entuzjastycznych okrzyków radości na ich widok. Po przejechaniu zaledwie kilku kilometrów stała się nikomu nie znaną. Jakiś umundurowany funkcjonariusz kolejowy, stojąc na peronie z wielką bawarską fajką w ustach, przygląda się jej ciekawie. Swawolny uśmieszek przewija się na jego twarzy.

Lasy, łąki, drzewa, ludzie idący ku swemu przeznaczeniu; wozy, toczące się po drogach, kobiety w wielkich fartuchach na progach domów! Więc są rzeczywiście ludzie, którzy pracują, cierpią, trudzą się, by zdobyć kawałek chleba? Czyż szczęście nie istnieje dla nich? Czyż jest tylko udziałem arcyksiążąt? Lecz Maksymilian bierze ją za rękę i opowiada o protokóle Dworu Wiedeńskiego.

Na horyzoncie ukazuje się jakieś duże miasto. To Bonn, rozścielający na lewym brzegu Renu swe kościoły, uniwersytety, akademie, fabryki. Krótkie zwiedzenie miasta, zdobytego w r. 1673 przez Austrię; Maksymilian żywo interesuje się katedrą i kryptą, w której spoczywa cesarzowa Helena. Małe uliczki opadają szczytami starych domostw ku Renowi. Może to tutaj słynny generał Montecucculi, odniósł zwycięstwo dla Austrii? W dali widnieje malownicza wieś o pięknych ogrodach i wspaniałej alei kasztanowej, kończącej się u podnóża pagórka, okrytego bujną zielenią. Powoli zapada wieczór, fioletowe smugi snują się nad dalekimi szczytami, po falach Renu cicho płyną w dal rzeki statki z winogronowym ładunkiem.

W małym porcie oczekuje parowiec „Stadt Elberfeld". Cała świta znajduje się już na pokładzie i kapitan, wyprężony na baczność, czyni honory statku. Ale któż to jest ta para kochanków, która zwiedza stare uliczki miasta, trzymając się za ręce? To nie są ludzie zwykli, ludzie nieznani jak ci wszyscy inni, spoglądający ku sklepieniu niebios, lub marzący w zadumie nad brzegami rzeki! To arcyksiążę Maksymilian i jego małżonka, którzy w podróży poślubnej popłyną wodami Renu do Moguncji.

Wybrzeża rzeki, czarujące niezwykłym pięknem, przesuwają się zwolna ukazując wzgórza okryte świerkami o kształcie skrzydeł anielskich, wioski tak wysoko położone, iż mogłyby być zamieszkane jedynie przez ptaki, stare zamki, owiane ponurymi legendami o zamkniętych w zbroje rycerzach i wyniosłych arcybiskupach w mitrach... I błękitne oczy Maksymiliana, zdające się być odbiciem czystego blasku nieba.

Oto skały drachenfelskie i obelisk wzniesiony w 1814 roku, a tam głęboka dolina Brohlu, nad którą króluje zalesiony szczyt, nawiedzany przez ducha bohaterskiego Rolanda, bratanka Karola Wielkiego; z lewej strony Adernach, gdzie Drusus

Ciąg dalszy na str. 573.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

ZAMYŚLENIE

Lubię się oddać
cichym zamyśleniom
i odbiec w chwilę
pełną twego smutku.
Lubię spoglądać,
jak się wiatr kołysze
w rozkwitłych kwiatach,
w maleńkim — ogródku.
Lubię wspominać,
kiedy zmierzch zapadnie,
nasz wspólny wieczór
przez serce wybrany.
Zda mi się nieraz,
że widzę cię blisko,
taką samotną,
taką zatroskaną.
I w takiej chwili,
ach, jakże bym pragnął
spojrzeć w twe oczy
i ująć twe dłonie.
Spójrz, ponad lasem —
w gwiazd srebrnym tumanie,
nasza wieczorna
gwiazda szczęścia płonie.
— — Czas płynie dalej
i chwile mijają
i noc zapada
wiatru polnym tchnieniem.
W taki to wieczór,
pełen samotności,
trwam w tobie smutnym,
cichym zamyśleniem. —
Józef Baranowski.

REPREZENTACJA NOWYCH CZŁONKIŃ

„Rigoletto" i „Burzliwa Przystań". Wierzę, że te ponure minki rozjaśnią się jeszcze. Np., gdy otrzymają Panie dużo miłych liścików. Aby jednak to się stało, muszę Panie zaprezentować „Rodzince". A więc: mieszkają Panie na wsi, w skromnym dworku, trochę mudzą się, bo przed tym spędziły życie w gwarnym mieście.

„Burzliwa Przystań" jest dość wysoką blondynką o niebieskich oczach i silnie opalonej twarzy. Wszystkie wolne chwile dnia spędza na swej ulubionej kasztance.

„Rigoletto" otacza się tajemniczym milczeniem. I kto wie, czy dzięki temu nie otrzyma dużo liścików. Tajemniczość bowiem zawsze pociąga! Wszelkie przesyłki listowne wystarczy kierować na adres: poste - restante, Ostrzeszów (Pozn.) (dla „Rigoletto" i „Burzliwej Przystani").

NIE RADZĘ DŁUGO CZEKAĆ...

„Zaza". Droga „Zazo", nie podaję Ci żądanego pseudonimu, gdyż nie znam powodu, jakim się P. J. K. kierował, zamilczając najważniejsze — pseudonim. Może okazałabym się niedyskretną? Sprawę pozostawiam więc do załatwienia P. J. K.!

Z listu wynika, że ma Pani ochotę nawiązać korespondencję z „Smutną i brzydką Irką". Otóż nie radzę Pani długo czekać, lecz jak najwcześniej zdobyć się na odwagę i pierwsza skrobnąć parę słówek do „Irki", kochanego Dziewczątka i mojej najmilszej Przyjaciółki.

Co do ostatniej sprawy — pracy Pani — pewna jestem, że wytrwa Pani dalej, pomimo niesprzyjających warunków. Powodują zresztą Panią bardzo szlachetne intencje, gdyż, jak Pani pisze — „rzuciłabym już dawno moją pracę, jedynie myśl o Matce, której pomagam, wstrzymuje mnie od tego". „Zazo", dużo siły i wiary w lepsze jutro! Ty zwyciężysz, bo zasługujesz na to. Pewna też jestem, że któregoś dnia otrzymasz inną posadę i równocześnie odzyskasz spokój. Czy chciałabyś gdzieś wyjechać na inną posadę? Donieś mi o tym!

Komunikaty Twoje zamieszczam:

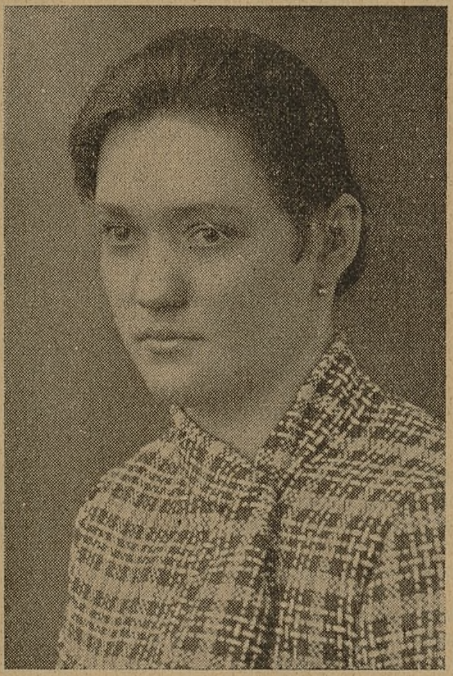
„Smutna i brzydka Irka", jesteś bardzo miłą dziewczynką, może skrobniesz do mnie kilka słów, bardzo Cię o to proszę!

„Kazimierz Junoszyc"! Będę jesienią w Warszawie — może się poznamy?

„Przybłęda Leśny". Bardzo ładnie przedstawiłeś się „Krainee". Jak widzę na humorze Ci nie zbywa. Zasyłam Ci śliczne — pa!

Moc serdeczności dla „Bursztynowego Serduszka", „Blanki" i „Erosa".

J. K., czy otrzymałeś list ode mnie? Dlaczego milczysz?



„Wesoła Ślązaczka" bardzo lubi „Moje Powieści" i chętnie koresponduje z ich Czytelnikami.

KOCHANEJ „ZUCH — DZIEWCZYNIE"

na dzień 16 lipca — poświęcam.

Idziesz przez życie, jak promień słońca złoty,
Jak szczęście i radość, którą wszystkich darzysz,
Jak wielka, cicha jasność, jak postać z marzeń,
Ukochana przez nas — tak pełnych tęsknoty.

Za Twoje czułe serce, za to zrozumienie,
Cóż Ci, Dziecino Droga, mam dać w podzięce,
Z jakim podarkiem przyjść, co złożyć w Twe ręce —
Za to, żeś ze mną dzieliła dni cierpienia?...

Ja, prócz pamięci, nic Ci dziś dać nie mogę,
Prócz myśli serdecznych, splecionych w życzenia,
Prócz rymów moich, które są tak ubogie,
Jak te — o szczęściu dawnym, dobrym — wspomnienia....

A więc je przyjmij na dalszą życia drogę
I wybacz: że Ci dziś więcej nic dać nie mogę...

„Biała Uajali".
Bolesławów, w lipcu, 1938 r.

LIST Z WOŁYNIA

„Wołyniak". Witam Pana serdecznie w „Krainie", z tym życzeniem, aby było Panu wśród nas dobrze i aby znalazł Pan w korespondencji z „Krainiakami" interesującą rozrywkę i pociechę w samotnym życiu na dalekim Wołyniu. List Pana podaję niżej w streszczeniu:

„Mieszkam od kilku lat na Wołyniu, gdzie otrzymałem posadę. Pochodzę z Poznania. Ostatnio straciłem kontakt z dawnymi znajomymi, więc wierzę, że „Krainka" będzie moją radością i łącznikiem z szerszym światem. Proszę zatem wszystkie Czytelniczki i Czytelników z okolic Poznania, Borku (woj. poznańskie), Kalwarii Zebrzydowskiej, Wadowic, Zawoi, Makowa Podhalańskiego i miasta Łodzi, aby napisali do mnie, a bardzo chętnie ich odwiedzę w czasie mego urlopu w lipcu br.

A może ktoś spędza wakacje w górach? Chętnie go odwiedzę, a nawet mogę mu towarzyszyć w górskich wycieczkach. Pierwszej osobie, która do mnie napisze, ofiaruję... piękną serwetę.

Pozdrawiam całą „Krainę" i „Ryśkę D." z Łodzi".

WINSZUJĘ!...

„Biała Uajali". Wprawdzie nie pisze mi Pani o tym, ale dotarły mnie już wiadomości, że znalazła Pani nową posadę i czuje się obecnie jak najlepiej. Winszuję Pani z głębokim, cichym życzeniem, aby dom, który otwarł się na Pani przyjęcie, był dla Pani ciepłym i gościnnym przez długi czas. Łączę serdeczne uściski dla Pani i podaję niżej załączone do listu komunikaty:

„Halo! „Wirrycie!" Nie pomogło ostrzeżenie pocztówkowe „Zuch - Dziewczynki"! Zdemaskowałyśmy Pana!

Braciszku! Ślę Ci moc pozdrowień! Cieszę się, Stachu, że znalazłeś kogoś, kto Cię rozumie.

„Taki Jeden"! — uściski ręki i pozdrowienia!

„Kazieńko"! Dlaczego milczysz? Czekam obiecanego listu!

„Mała Konwalijko"! Czy szum wichru w listkach drzew, ukołysał Twą duszę do... marzeń o szczęściu? Oby!

„Niestrudzony Wędrowcze!" Podobała mi się Pańska nowelka. Wiem, że Rychna, to prawdziwe słonko, które wszystkich smutnych darzy ciepłem zrozumienia, prawda?

„Przedwiośnie"! Maleńka, rozumiem Cię, współczuję i kocham, jak zawsze. List napiszę później! Bądź dobrej myśli, Ziuteńko!

Dla p. Czekalskiego załączam uściski rąk. Przepraszam za smutny list, nie mogłam inaczej — trudno! Czy to Pana zraziło?

ŻYCZĘ DUŻO ZADOWOLENIA...

„Te - Em". W bież. chwili korzysta już Pan z wakacyj, prawda? Życzę dużo zadowolenia i pełnego wypoczynku!

Martwi się Pan o zjazd „Krainiaków" w Żninie, a właściwie o termin zjazdu. Proszę Pana i ten projekt został już wysunięty, mianowicie, aby zjazd urządzić w okresie Targów Pałuckich. Jak się Panu ten pomysł podoba? Zaznaczam, że ogólnie jest przyjmowany z uznaniem. O tym zresztą pogadamy szerzej, gdy odwiedzi Pan naszą redakcję. Wolałabym, aby Pan odłożył wizytę na sierpień, gdyż wówczas znajdzie Pan zespół redakcyjny w komplecie. Czy to będzie P. odpowiadało? O ile nie, prosimy przyjechać wtedy, gdy będzie Panu dogodniej. Drzwi redakcyjne są zawsze gościnnie otwarte dla wszystkich Sympatyczek i Sympatyków „Krainy szczerości" i „Teczki Wujka Janusza".

Wierszyki oddałam do oceny Wujkowi Januszowi. Pozostał więc tylko apel Pana:

„Może ktoś z „Krainiaków" (obu rodzai) będzie nad morzem w miesiącach letnich?... Jeśli tak, to w którym miesiącu?

Wszystkich „adeptów morza" proszę o napisanie do mnie listów, a sądzę, że poznamy się i zabawimy wspólnie nad morzem.

„Uśmiechniętej Szatynce" dziękuję za śliczną fotkę. Zasyłam pozdrowienia!"

TAK BĘDZIE DO SKOŃCZENIA ŚWIATA...

„Avery". „Może nadejdzie dzień, w którym wróci moja radość, szczęście i zadowolenie"... O, tak, „Avery", nadejdzie ten dzień! W życiu jest wszystko takie celowe i tak mądrze urządzone, że trzeba mieć tę silną wiarę i nadzieję, że każde zło minie. Inaczej trudne byłoby życie. Nadzieja, to oparcie wszystkich ludzkich istnień, bez niej życie byłoby niepewne i zasnute szarą mgłą zwątpień. Nie dziwię Ci się, Kochana Dziewczynko", że czekasz na dary łaskawego losu, jesteś wszak człowiekiem, a: „przeto do skończenia świata, kiedy wyschnie morze i słońce spadnie w przepaść, każdy człowiek będzie pragnął tylko szczęścia i będzie umierał wypalony tym pragnieniem, jak ognisko". Tak mówi piękna myśl filozoficzna i bezwątpienia, że mówi prawdę.

Kończę jednakże moją odpowiedź i bardzo Pani dziękuję za słodką obietnicę częstszego przesyłania mi listów. Dopisek Pani zamieszczam:

„Rozśpiewana Izabello", wiem kim jesteś. Przyjm uścisk dłoni i siostrzany uśmiech.

„Merle", dlaczego milczysz?! Dużo miłych pozdrowień!

„Sarenko"! Czy jesteś Basieńką D. z Cz...a? Jeżeli tak, znamy się, lecz łam sobie główkę, kim ja jestem.

„Słodka Dary", przesyłam Ci wiązankę najszczerszych życzeń imieninowych.

„Mały Stasiu" i „Marzący Romie", może napiszecie do mnie? Pozdrawiam!"

WIERSZ O PYTAJĄCYM CZŁOWIEKU

Ulice długie, ulice wielkie
Czy wy nie wiecie
Gdzie, w którym domu szczęście prawdziwe
Mieszka na świecie?
Może za miastem, a może w mieście
Może daleko
Przy nieznanej jakiejś ulicy,
Biedny człowieku.
Bruki spękane, bruki wytarte
Smutne i siwe,
Czy was już kiedyś dotknęły stopy
Lekkie, szczęśliwe?
Deptały po nas rano, w południe
Nocą, wieczorem
Przeróżne stopy: bolące, słabe
Zmęczone, chore.
Pocztowe skrzynki na wszystkich rogach,
Czerwone, małe,
Czy jakieś ręce, listy radosne
Do was wrzucały?
Tysiące listów, kart, widokówek
Do nas wrzucono
A czasem na nich był napis: „W miejscu"
Lub „Polecono".
Szyldy błyszczące nowym lakierem
Świeżym pokostem,
Czy u was w sklepie troszeczkę słońca
Można by dostać?
Wszystko na raty, po niskich cenach
Pan tu dostanie
Tylko, że słońca nie ma na składzie,
Łaskawy panie.
Latarnie smukłe i zamyślone
W mrokach schowane
Czyście przypadkiem nie zobaczyły
Tu zakochanych?
Było koło nas raz takich dwoje
O zmierzchu w maju
Ale już teraz nigdy się tędy
Nie przechadzają.
Przystanki sztywne, proste, cierpliwe
Czy wy nie wiecie
Kiedy przejeżdża ten wóz, co szczęście
Wozi po świecie?
Jechał raz tędy, cicho raz jechał,
Biedny człowieku.
Ale nikt właśnie wtedy tu nie stał
Nikt go nie czekał. *A. E.*

JAK Z LISTU WYNIKA...

„Samiuteńka". Te Twoje myśli o mnie i o „Kraince" w zupełności Cię rozgrzeszają z tego długiego milczenia. Cieszę się, że napisałaś i w dodatku tak miło, bo trzeba Ci wiedzieć, że jestem rozbrojona Twoim odnoszeniem się do „Moich Powieści" i I. K. P. Jak z listu wynika, mieszkasz dość blisko Żnina. Wypada więc, abyś odwiedziła naszą redakcję. Czy mogę mieć w tym kierunku jakąś nadzieję?

Pozdrowienia, nadesłane dla „Wieszczki Kwiatów", „Samotnego Roma" i całej „Rodzinki" — przekazuję! I równocześnie zapytuję, kto z „Krainiaków" ma ochotę napisać do „Samiuteńkiej".

NOWA CZŁONKINI „KRAINY"

„Jagódka Leśna". Jesteś naprawdę rozkoszna z tą prezentacją, niepozbawioną autoreklamy. Uśmiałam się z tego serdecznie, a zarazem wzięło mnie, gdyż wynika z tego nie chęć pochwalenia się, lecz po prostu pokazanie się w jak najlepszym świetle, by zyskać sympatię wielkiej naszej „Rodzinki". I dlatego też nie mogę powstrzymać się, by nie przytoczyć Twych słów:

„Mam 18 lat i niedawno skończyłam edukację. Jestem jasną blondyną o kędzierzawych włosach, ciemnozielonych oczach, czarnych jak węgiel (niemalowanych) rzęsach i brwiach i ładnej buźce. Wszystkim się podobam, bo jestem nadzwyczaj zgrabna. Dość wysoka, nie chuda — ale szczupła, czego mi wszyscy zazdroszczą, w pasie mam obwodu 42 cm i ważę 45 kg. Lubię muzykę, taniec, sport, (pasjami tenis i rower). Jestem rozkapryszoną jedynaczką i z całego serca pragnęłabym nawiązać szczerą korespondencję z sympatycznymi Czytelnikami!"

Nie mam żadnych zastrzeżeń, co do przyjęcia Ciebie do „Krainy" i dlatego też mogę tylko wszystkim polecić Cię, jako jedną z najmłodszych moich członkiń.

Czy możesz brać udział w projektowanym zjeździe? Jeżeli on dojdzie do skutku (Twój głos zapisałam po stronie „za zjazdem"), to nawet musisz przyjechać.

A teraz Twoje komunikaty:

„Samotny Chorzów I". Zainteresowałam się i proszę o list. Odpowiedź i fotkę prześlę odwrotnie.

Pozdrowienia i uśmiechy dla „Barona Cygańskiego" „Stepowego Płomienia", „Ara", „Sztubaka spod lasu", „Myśliwego", „Zrównoważonego Jasia", „Erosa". Proszę Was o listy, odpowiedź murowana. Całuję serdecznie Siostrzyczki: „Rozśpiewaną Izabellę", „Renę z Kujaw", „Terenię z szlacheckiego dworku", „Białą Uajali", „Skromnego Fiołka", „Wesołą Różyczkę" i „Czarodziejkę". Piszcie, Kochane, do mnie!

„Belfrze", napisz do mnie! Prawdopodobnie znamy się! Nie mylę się na pewno. Wiem, kim jesteś. Pisz! Przekonasz się! Adres mój: poste-restante, Jarocin (Wlkp.) dla „Jagódki Leśnej".

PROSZĘ NIE PODDAWAĆ SIĘ...

„Mała Konwalijka". Sprawa ogłoszeniowa została pomyślnie załatwiona, tak samo wysłany list do Pana K. Ł. Przechodzę więc do spraw więcej osobistych:

„Maleńko Konwalijko", proszę nie poddawać się tym zabójczym wpływom, lecz oddalać je od siebie. Inaczej smutek Pani będzie rósł z dnia na dzień coraz to więcej i może w końcu zrobić z Pani nieszczęśliwą na całe życie istotę. Radzę Pani czytać dużo książek o treści umacniającej, podnoszącej na duchu oraz zacząć pisać pamiętnik. W ten sposób wypełni Pani doskonale wszystkie wolne chwile i zapomni o tych rzeczach, które każdemu samotnemu człowiekowi sprawiają ból. Zrób tak, Kochanie, a nie będziesz żałowała!

Nie zapominam także poprosić w Twoim imieniu, „Konwalijko", aby „Krainiacy" pamiętali o Tobie i napisali do ciebie. Pozdrowienia dla „Czarnego Hajduczka", „Maruty" i „Białej Uajali" — również przekazuję!

CIESZY MNIE...

„Niezapominajka IV". Niewymownie mnie zawsze cieszy, ilekroć jakaś zbłąkana owieczka powraca do naszego grona. Przekonuje mnie to w pierwszym rzędzie o tym, że pismo nasze nie staje się gorsze, a lepsze. Prosisz o zmianę pseudonimu, i jak widzisz, prośba odniosła skutek.

Usprawiedliwiasz się brakiem czasu, nawałem zajęcia, a ja ze swej strony dodam, że wielu ludzi może Ci tego zazdrościć. Pracą moim zdaniem, to najlepszy sposób na zwalczenie niezadowolenia życiowego. I sądzę, że wielu ludzi podziela to moje zdanie!

Na zakończenie pozdrawiam Panią i zamieszczam niżej dopisek z listu Pani:

„Jasiu - Sokole"! Ciekawa jestem, skąd jest Panu znany mój adres?

Moc miłych pozdrowień ślę „Broneczkowi" i całemu zespołowi „Krainy".

A teraz — czy znajdę kogoś z okolic Świecia, Grudziądza wzgl. Bydgoszczy, który zechce podejmować ze mną wspólne wycieczki rowerem?".

BRAWO!!

„Czarnulka ze Świecia". Zgadzam się z całą serdecznością na ten „mocny uścisk" Pani. Cóż za kochana osóbka z Pani! Choćby dlatego, że jest Pani taką wielką miłośniczką przyrody, tak ładnie o niej mówi i w końcu obwieszcza mi rozbrajająco: „skończyłam z nudami, przestałam się wreszcie nudzić, znajdując nowe zainteresowania". Brawo! Niech tak będzie dalej! Niech przyroda będzie zawsze dla Pani ciekawą, otwartą księgą, niech przemawia do Pani, koi i uczy żyć pięknie i celowo. Będzie to dla mnie wielką pociechą, a dla Pani — szczęściem. Bo tylko ten, kto rozumie i kocha przyrodę może pojmować własne istnienie, jako szczęście i cud najwyższy. Wszak prawda, „Czarnulko"?

Dla „Kraniaków" od Pani:

„Lailo"! Liścik odebrałam, ślicznie dziękuję! Żałuję, że nie podałaś mi swego adresu, gdyż dzięki temu nie mogę Ci na niego odpowiedzieć. Popraw się i przyjm dużo uścisków!

„Steniu ze Żnina". Całuję buzię! Kiedy rozpoczynasz wakacje? Napisz, Leniuszku!

„Nineczko z Iłowa", przyjm ode mnie śliczny uśmiech i dużo serdeczności!

„Mistyku", zdaje się, że znamy się osobiście? Przyjm uśmiechy i pozdrowienia!

Halo! Czy nie napisałaby do mnie jakaś „Krainianka" z Gdyni? Zamierzam tam spędzić urlop i chciałabym znaleźć milutką przyjaciółkę".

TRUDNO UWIERZYĆ!...

„Farida". Mam przed sobą Pani fotografię i oto stwierdzam, że wybrała sobie Pani bardzo odpowiedni pseudonim. „Farida"! — córa dalekiego Egiptu! Doprawdy trudno uwierzyć, że te regularne i trochę chłodne rysy uwidocznione wyraźnie na zdjęciu, należą do Polki. Fakt jednakże jest faktem, a złudzenie — złudzeniem. Toteż zamiast oddawać się temu ostatniemu, wolę poprosić Panią, bardzo miło i grzeczniutko, o udzielenie mi licencji na zamieszczenie wyżej wspomnianej fotografii w „Kraince". Czy zgoda? Czekam cierpliwie na odpowiedź, a tymczaseem zamieszczam komunikaty Pani:

„Blanko" i „Biała Uajali"! Jesteście dzielnymi dziewczynkami, podobacie mi się. Ślę Wam ucałowanie!

„Czarnulko z Grudziądza", Czy wolno do Ciebie napisać? Przyjm pozdrowienia!

„Uranie" — dużo serdeczności!

„Elem n. Notecią"! Czy chciałby mi Pan napisać coś o Noteci? Spędziłam dużo miłych chwil nad tą rzeką. Obecnie mieszkam w innych okolicach, ale chętnie przypomnę sobie dawne strony.

Halo! P. Br. L. Wiele! Nie znam Pana, ale Wiele jest mi drogie z pewnych względów. Jak najserdeczniej Pana pozdrawiam, jak również młodszego pana nauczyciela. Jeżeli Panowie ciekawi, kto ich pozdrawia, niech zgadują. Klucz od zagadki u Pani Zosi w notesiku. Wystarczy napisać, sądzę, że warto"!

PRACA TO DOBRODZIEJSTWO...

„Miła Cyganka". Częstokroć cisza i samotność zbawiennie wpływają na samopoczucie człowieka, aniżeli bardzo urozmaicone życie. Niech więc nie martwi Panią ta głusza i brak towarzystwa, które można doskonale wypełnić jakimiś zainteresowaniami. Proponuję, niech Pani dużo koresponduje, zajmie się robótkami, uprawą ogrodu (jakże miłą pracą!) wreszcie hodowlą roślin pokojowych lub drobiu rasowego. Na wsi jest tyle możliwości w tych dziedzinach! Nie wiem tylko, czy upodobania Pani sięgają właśnie w tym kierunku. Jeżeli nie — szkoda, gdyż mogłaby Pani czuć się na wsi równie dobrze, jak i w mieście. Z głuszą, nudą i smutkiem — straci Pani dużo, zyska za to wiele z pogodą i silną wiarą w życie. Proszę o tym pamiętać! I jeszcze o tym, że praca to dobrodziejstwo i cudowne lekarstwo na t. zw. „chandrę".

Łączę miłe pozdrowienia!

ZAINTERESUJCIE SIĘ MNĄ...

„Rena z Kujaw". Prośbom Pani już częściowo uczyniłam zadość, a dzisiaj czynię zadość ostatniej, mianowicie podaję do ogólnej wiadomości list Pani:

„W chwili obecnej znajduję się na wakacjach w Gdyni. Kochani „Krainiacy" z tego miasta, proszę, zainteresujcie się mną. Jak wyglądam — dowiecie się z zdjęcia, zamieszczonego w numerze 22 br. str. 429.

„Jadziu z kiosku", przyjm szczere pozdrowienia i proszę o pamięć!

„Mała Konwalijko", znam Panią. Wesołe pa!

„Sportsmenko z Kujaw" — zasyłam Ci dużo, dużo uśmiechów.

P. Zyg. M. z Grudziądza! — milutkie pozdrowienia i proszę nie zapominać o kimś dalekim i nieznanym.

„Młodemu Orłowi" — moc pozdrowień i powodzenia w podniebnych lotach!

„Te - Em", znam Pańskie nazwisko. Przebywa Pan teraz w Poznaniu, a właściwie zamieszkuje w M., prawda? Przyjm pozdrowienia"!

ŚNIJ DALEJ, MIŁA „RUSAŁKO"...

„Sentymentalna Rusałka". Sądząc z listu jest Pani bardzo rozumną osóbką, chociaż trochę marzycielką. Śnią się Pani jakieś rusałczane przygody, marzą powieściowe zdarzenia itp., wszak prawda? Nie potępiam Panią za to ostatnie, bo marzenia to słabość i urok młodzieńczego wieku. Kiedyż zresztą marzyć, jak nie w latach, gdy troski i trudy dojrzałego człowieka są jeszcze za siódmą górą i siódmą rzeką?! Toteż miła „Rusałko", śnij dalej kolorowe sny, jednakże z tym, że chociaż kiedyś w życiu będzie inaczej, niż w tych

snach — serce niebardzo będzie bolało, a oczęta smuciły się.

Pragnie Pani, aby ktoś napisał do Pani? Otóż — kto wie! Chętnych jest zawsze dużo, tylko nie każdemu odpowiada dana korespondencja. Ale — jeżeli chodzi o Panią — to zapewnie sprawa będzie wyglądała bardzo dobrze. W tej myśli ślę Pani szczere uściski i pocałunki.

UWAGA! „KRAINIACY" Z WOJEWÓDZTWA LWOWSKIEGO!

„Bajkal". Pomimo, że narazie czuje się Pani obco w nowym środowisku życia, wierzę, że z czasem przyzwyczai się Pani do niego. Nie darmo przecież używa się zwrotu — „przyzwyczajenie staje się drugą naturą człowieka"! Zatem — główka do góry! Wszystko będzie dobrze!

Za życzenia — ślicznie Pani dziękuję i kończę moją odpowiedź zamieszczeniem komunikatów Pani:

„Lang - Cheng", dlaczego nie piszesz, Kochanie? Przyjm ode mnie dużo serdeczności i pozdrów PP. Goderskich.

„Rozśpiewana Izabello", jeszcze raz Ci dziękuję za nadesłane zdjęcie. Przesyłam uściski z dalekiego B.

„Jadziu z kiosku", czy wiesz, że pracujemy w jednym zawodzie? Może otrzymam liścik od Pani?

A może od kogoś innego, specjalnie od „Krainiaków" z województwa lwowskiego? Na każdy list — murowana odpowiedź!"

PRZYJMIJCIE DO WIADOMOŚCI!

„Czarnulka z Grudziądza". Trochę to zazdroszczę Pani tej wiejskiej swobody i tego „za pan brat" z przyrodą. Patrzę z smutkiem na moje duże biurko i myślę o tych szerokich przestrzeniach pól, po których ugania się Pani „na bosaka". Cóż za sielskość! Doprawdy pięknie urządziła sobie Pani wakacje!

Pragnie Pani na nowo korespondować? — A więc przyjmijcie to do wiadomości, mili „Krainiacy". Zwłaszcza Wy, z Borów Tucholskich, o których pisze „Czarnulka" z pewnym sentymentem.

Pozdrowienia od „Czarnulki z Grudziądza" mam tym razem dla P. Kałużnego, „Podchorążego z Grudziądza", „Wesołego Kozaczka", „Latorośli Kaszubskiej" i „Wytwornego Włóczęgi". Osobne dla „Boluś".

„Blondynku w mundurku", dlaczego milczysz? Odezwij się, gdyż niedługo wybieramy się do Gdyni. Możemy porozmawiać sobie".

PROSZĘ...

„Mary z Gdyni". Bardzo mi Pani żal, że chorowała Pani tak długo i tak poważnie, a z drugiej strony cieszę się, że już Pani zdrowsza i znowu Pani do mnie napisała. Pyta Pani, co robić, aby wzmocnić organizm. Otóż zalecam Pani pić surowe soki z jarzyn, szczególnie z marchwi, poza tym spożywać dużo potraw mącznych, słodkich i tłustych. To zrobi Pani dobrze!

Wierszyka — „Nie poddam się" — nie zamieszczam, ponieważ jest naśladownictwem innego wiersza. Droga „Mary", proszę nigdy do swych utworów nie pożyczać obcych myśli, gdyż może spotkać Panią wielka przykrość.

Pozdrawiam Panią i niżej przedrukowuję kilka słów Pani:

Halo! „Niezapominajko III"! Może napiszesz do mnie? Tak samo Ty „Lang - Cheng", „Wędrowny Ptaku", „Kazimierzu Junoszycu", „Ferdy" i „Przybłędo Leśny"?

ABY IM BYŁO LŻEJ...

„Kalina". Tak, „Kalino", móc być dobrym, to wielkie szczęście. Nie każdy jednak takim być potrafi, ale i to nie żadna zbrodnia. Ludziom różnie układają się warunki życiowe — jednym dobrze i gładko, innym — nieszczęśliwie. I ci ostatni zwykle, ludzie o sercach przepojonych goryczą i spalonych cierpieniami, nie potrafią zdobyć się na szczerą dobroć. Może dlatego, że sami jej mało zaznali. Trzeba więc i o nich myśleć z serdecznością, o tych najsmutniejszych braciach. Trzeba im rzucać słowa nadziei i siły, aby im było lżej. Rozumiesz więc teraz, „Kalino", moją radość i moje szczęście, że mogę czynić trochę dobrego. Przyjmij ode mnie ciepły uścisk ręki!

„ZREWANŻUJEMY SIĘ ZDJĘCIAMI"...

„Wiośniany Uśmiech" i „Czar Młodości". Dwie nieznane nam jeszcze dziewczynki, o wyżej wymienionych pseudonimach, przesyłają na moje ręce poniższe słowa dla „Krainiaków":

„Mieszkamy w dalekim, pomorskim miasteczku. Jesteśmy młodziutkie, miłe i bardzo wesołe. Czy ktoś zechce napisać do nas? Zrewanżujemy się za to ładnymi zdjęciami z naszego ostatniego pobytu w Zakopanem".

Drogie Dziewczynki! Wasza obietnica skusi zapewne niejedną i niejednego. Zdjęcia! — co za magiczne słowo! Któż ich nie lubi i nie uznaje, zwłaszcza, gdy przedstawiają uroczo uśmiechnięte buzieńki dwóch młodych dziewcząt. Proszę być dobrej myśli, Panienki i cierpliwie oczekiwać licznych wieści ze świata!!!

PŁYNĄĆ DO ZŁOTYCH WYSP...

...Płynąć do złotych wysp, które są jak sny
leżące na wodzie — —
...Zawitać do takich miast, gdzie sercu jest
piękniej i młodziej —
„Pukać do takich bram,
za którymi dzieciństwo czeka — — —
a zakotwiczyć się tam,
gdzie jest daleko, daleko. —
I napisać stamtąd listy
pod adresem starym i własnym, listy gwiaździste
do tego, co szare i ciasne,
do tego, co rzeczywiste,
do tego, co pozostało,
od czego się odjechało,
czego się ścierpieć nie mogło,
bo było zwyke, powszednie,
w nocy i we dnie,
zbyt prawdziwe i zbyt okrutne
do tego, co było
smutne. *A. E.*

NAPISAŁA MI PANI O WSZYSTKIM...

„Kropelka leśnej rosy". Ciekawa jestem, czy w chwili, gdy piszę te słowa, zwichnięty paluszek już jest zdrowy i cały. O ile tak, cieszę się bardzo, gdyż zapewnie znowu odbiorę świeży liścik od Pani? Ten ostatni, pisany o północy, „gdy wszyscy już w domu smacznie spali", był bardzo kochany. Napisała mi Pani w nim o wszystkim: o niespodziewanym karambolu na święcie P. W. i W. F. w Gniewkowie, o pracy, o swoim domu, słowem o tym, o czym wspomnieć trzeba, pisząc list do... no powiedzmy przyjaciółki, bo chyba uważa mnie Pani za taką, prawda? Mocno ściskam i całuję!

PROSZĘ PODYSKUTOWAĆ ZE MNĄ...

„A. St. - St." Rozumowania Pana są bardzo inteligentne, niezależnie jednak od tego jestem zmuszona całą sprawę pozostawić w spokoju i spełniać tylko rolę, jaka do mnie należy, t. zn. być wyrozumiałą dla niektórych słabostek mych Sympatyków i starać się być ich radością i opieką. Co do fantazyj — również trudno mi cokolwiek postanowić. Słów w tym kierunku nie poskąpię, ale czyż zdołam tym dokonać jakiegokolwiek przewrotu na lepsze. Przecież fantazja ludzka, to siła. Zakorzeniona mocno, czyż da się stłumić? Proszę jeszcze podyskutować ze mną na powyższy temat, bardzo proszę!

Za życzenia — jak najserdeczniej Pani dziękuję!

OBECNOŚĆ PANA NA ZJEŹDZIE — KONIECZNA!

„Henry". Pierwsze zdjęcie zostało już zamieszczone, a teraz postaram się, aby było i drugie.

Głos Pana, dotyczący zjazdu „Krainiaków", zapisałam. Obecność Pana, oczywiście, konieczna! Przypuszczam, że będzie Pan bohaterem całej uroczystości, choćby z tego tytułu, że jest Pan pierwszym Czytelnikiem „Moich Powieści".

Nowelę, proszę, niech Pan przekaże Wujkowi Januszowi. W ogóle radzę Panu przeprowadzać z nim wszelkie pertraktacje, dotyczące utworów literackich. Pozdrawiam Pana!

MYŚLMY NA SERIO!

„Jaś - Sokół". Zjazd „Krainiaków" jest projektowany na koniec lata, w okresie Targów Pałuckich. Wyobrażam już sobie naprzód ten wielki legion moich pupilek i pupilów, spędzających radosne godziny w Żninie. Na pewno historia „Krainy" nie zanotuje już milszego dnia. Myśmy więc wszyscy na serio o rendez -vous w stolicy Pałuk!!!

„Milutka Leno", wkrótce odbierzesz ode mnie list. Za pozdrowienia — dziękuję!

„Bella Donno"! Kim jesteś? Oczekuję odpowiedzi na mój list.

„Bursztynowe Serduszko", dziękuję Ci za pozdrowienia! W rewanżu ślę Ci jasny uśmiech i obietnicę, że wkrótce napiszę długi list".

HALO! GRUDZIĄDZ I DZIAŁDOWO!

„Kwitnąca Różyczka". Czy jesteś zadowolona z nawiązanej korespondencji, „Różyczko"? Ufam, że tak! Napisz znowu kiedyś.

A teraz coś dla „Krainiaków" od Pani:

„Serdeczne pozdrowienia i moc radosnych uśmiechów przesyłam miłej „Kraince". Osobne pozdrowienia dla Grudziądza. W mieście tym niedawno przebywałam. Tak samo w Działdowie. Listy z tych dwóch miast sprawią mi dużą radość!"

CIEKAWAM TEJ WALKI!...

„Smutna Iwonka". Oto jeszcze jeden powrót „marnotrawnej córy", która po czterech latach milczenia powraca do „Krainy". Cieszmy się z tego powodu! A Ty, Milutka Dziewczynko, czuj się dobrze wśród nas zapomnij o pracy i żmudnych studiach i szukaj rozrywki w korespondencji z „Krainiakami". Wielu z nich marzy o nawiązaniu wymiany myśli właśnie z taką inteligentną i milutką osóbką, jaką Ty jesteś. Wyobrażam więc sobie, jak rozpromienią się na wiadomość, że pragniesz spotkać się z nim listownie i rozpocząć walkę na pióra. Och, ciekawam tej walki! Ileż kopij zostanie skruszonych, ile zwycięstw zanotują białe kartki listowe i wreszcie — jak ten wódz potyczek, t. zn. Ty, „Smutno Iwonko", rozweseli się i wypogodnieje po dobrze załatwionych sprawach.

Na zakończenie pozdrawiam Panią i proszę pamiętać, że każdy list Pani przyjmę z życzliwością.

PRAGNĘ, ABY BYŁO PANI JASNO...

„Wesoła Ślązaczka". Z zainteresowaniem przeczytałam list Pani i tylko jedno mogę powiedzieć: dzielna postawa Pani wobec zasadzek złego losu — jest bardzo dobra. Zawsze trzeba przetrwać chwile goryczy z wiarą, że zakończą się one zwycięstwem radości. Człowiek uczciwy i pogodny będzie miał stale przyjaciół, którzy pójdą za nim i podadzą mu w potrzebie pomocną rękę. A dwóch, trzech, a nawet jeden taki przyjaciel wystarcza w zupełności za legion tych, którzy mienią się przyjaciółmi z pozorów. O tym, wie Pani dobrze, „Wesoła Ślązaczko", prawda? Moje życzenia dla Pani są bardzo tkliwe i dobre — pragnę, aby Pani było na prawdę jasno w życiu! Fotografię zamieszczam mniejszą. Komunikaty podaję niżej:

„Smutna Ślązaczko", główka do góry! Bądź pogodną a może stanie się zadość Twoim życzeniom.

„Zbijobruk Poznański", wiem kim jesteś. Przyjmij ode mnie całusa!

„Samotny — Chorzów". List później. Pozdrawiam i dziękuję za życzenia.

CZASEM LEPSZE DOMYSŁY, NIŻ PEWNOŚĆ...

„Smutna i brzydka Irka". Niestety, Wujek Janusz nie jest moim bratem, lecz tylko kolegą redakcyjnym. Nie przeszkadza to jednak aby domysły naszych kochanych „Krainiaków" robiły z nas parę małżeńską, narzeczeńską i t. p. Nie gniewamy się jednak z tego powodu, lecz, owszem, nieraz szczerze uśmiejemy. Zresztą Wujek Janusz twierdzi, że te domysły są znacznie lepsze, niż np. taka pewność pewnej słodkiej osóbki: „Wujku Januszu! — pisała ona — wiem doskonale kim jesteś i nie pomogą żadne Twoje tłumaczenia. Wiem, że masz niebieskie oczy, wąsy á la Anglik i porządną łysinę..." To ostatnie doprowadziło wtedy Wujka Janusza do rozpaczy. Bo muszę zdradzić, że nasz Wujcio ma śliczną, ciemną czupurynę i o łysinie narazie nie może być mowy. „Ależ mają o mnie wyobrażenie — wąsy á la Anglik i łysinę — a niech to!..." narzekał biedak i sprawdzał ustawicznie w lustrze, czy rzeczywiście nie zanosi się chociaż na małą łysinkę. Ale lustro tylko pocieszało i zapewniało, że wszystko w porządku.

Wracam jednak do rzeczy! Chorowała Pani trochę? Oj, szkoda! Świat, pomimo ustawicznej niepogody, taki pociągający. W polach pachną już słodko łubiny (nie tylko na okładce naszego tygodnika!) porosłe świeżo trawy zapraszają do wypoczynku, las kusi zapachem i czerwienią poziomek, bogactwem czernic... a Pani niedomaga! Popraw się, „Iruś"! Bądź dzielną i nie choruj! Nakaż ząbkom posłuszeństwo. Al-

bo idź do dentysty, aby sprawdził, czy któryś z ząbków nie zbuntował się i nie postanowił Cię niepokoić. Zresztą zrób, co uważasz za wskazane, tylko tak, abyś była zadowolona. Przyjm ode mnie czułe pozdrowienie i pocałunki!

„Lang - Cheng, dziękuję, już mam posadę! Szkoda, że nie mam adresu, gdyż chętnie napisałabym kilka słów do Ciebie."

RADZĘ ZDEMASKOWAĆ OSOBIŚCIE

„Rozkoszna Dziewczynka II". Z pewnych względów nie mogę uczynić zadość prośbie Pani, t. zn. zdradzić tajemnicę „pewnego pseudonimu." Daję jednak Pani radę, mianowicie, aby Pani zdemaskowała osobiście „Z. S." List przekażę z całą przyjemnością.

A teraz kilka słów á propos p. Z. i Wołynia. Otóż stugębna fama posunęła się nieco za daleko, bo wiadomości, dostarczone Pani, nie polegają na prawdzie. Może kiedyś w przyszłości stanie się to, o czym mówią już teraz, ale w rachubę nie będzie wchodził wtedy Wołyń, tylko zupełnie inna część Polski. Ale — sza! Obawiam się bowiem, że zainteresowana osoba, aczkolwiek jest bardzo milutka i dobra, jak gołąbek, może wyciągnąć konsekwencje z mego gadulstwa. Zatem — pa, Dziewczyneczko!

„Halo! „Wesoły Łobuzie spod Działdowa"! — kim jesteś? Intrygujesz mnie!

„Echo Wsi" — czy można Panią zdemaskować?

„Czarodziejko" — moc pozdrowień! Może mieszkamy blisko siebie?

„Młody Orle" — porzuć fantazję podniebnych lotów i nie bądź tak upartym.

„Zabójczy Blondynie" z Niestorii k/Działdowa, jesteś morowym chłopcem. Pozdrów Ryszarda T.

Czechu Z. z Turcy W., co porabiasz? Czy wstąpiłeś już do zakonu?

Panu Tadeuszowi Rawickiemu specjalne pozdrowienia — czy arystokratyczna szpilka „jeszcze kole?" List zjadły... mrówki!

Wszystkim, którzy przesłali mi swego czasu pozdrowienia — serdecznie dziękuję i stokrotnie odwzajemniam. Dla całej „Rodzinki" dużo, dużo pozdrowień i prośba o liściki!"

CZY PRZYRZEKASZ?

„Dadusia". Nawet na zdjęciu widać, że twarzyczka Pani jest mocno, mocno opalona. Mogłaby być Pani z powodzeniem królewną jakiegoś szczepu ciemnoskórych. Dobrze było by Pani w tej roli z tymi bujnymi lokami i pałającymi oczyma. Jak Pani uważa?

O tyle, o ile podobało mi się zdjęcie, o tyle nie przekonała filozofia Pani. 16 lat i pesymizm, śliczna, młoda twarzyczka i myśl o śmierci! Ależ, „Dadusiu"!... Stanowczo musisz się poprawić i zacząć myśleć inaczej! Czy przyrzekasz mi to? Czekam na tę obietnicę i narazie ślę Ci czułe uściski. Pa, Maleńka!

TRUDNO...

„Gerda". „Kawalarz" z Pana, no ale trudno mnie „nabrać"! Zwłaszcza, że sprawa jest prosta, jak słońce. Proszę przyjąć ode mnie przyjazny uścisk dłoni.

CHOCIAŻ NIC MI O SOBIE NIE NAPISAŁAŚ...

„Lilusia". Co za przepyszne oczy masz, „Lilusiu"! Patrzą na mnie z fotografii, jak żywe i mówią dużo, dużo. I chociaż nic mi o sobie nie napisałaś, wiem, że posiadasz w sobie dużo inteligencji, dobroci i pewnej marzycielskości. Zgadza się, prawda?

Kochanie, korespondencja z Tobą cieszy mnie! O, tak, podyskutujemy nieraz, żałuję tylko, że nie zamierzasz szerzej korespondować. Żegnam Cię do następnego listu serdecznymi pozdrowieniami!

PRZYJAZNE I ODDANE SERCE, TO SKARB...

„Biała Brzózka". Bardzo chętnie odstępuję Pani maleńki kącik w „Krainie" i zwracam się w imieniu Pani do Sympatyczek i Sympatyków, aby napisali do Pani. Mieszka Pani w lesie i nie posiada żadnych przyjaciół i stąd wielki smutek i żal. Mieć przyjazne i oddane serce, to wielki skarb, więc tak chciało by się mieć ten skarb na własność. Czy ktoś zrozumie szczerze, to wielkie pragnienie „Białej Brzózki"? Jeżeli tak, niech Jej prześle w leśną samotnię piękny, dobry liścik. Bardzo o to proszę!

PISZCIE NA POSTE-RESTANTE

„Halo „Krainiacy"! Pragnęłabym znaleźć między Wami dużo przyjaźni. Czuję się bardzo osamotniona i chciałabym za pośrednictwem miłych listów urozmaicić trochę moje życie. Okażcie mi zatem nieco sympatii i napiszcie do mnie. Odpowiedź zapewniona! Adres mój: Poste-restante, Świecie n. W., dla „Zadumanej Renaty".

PROSZĘ O FOTOGRAFIĘ!

„Stepia - Ślicznotka". Wiemy, że jest Pani śliczną dziewczynką, jednakże nie znamy rysów Pani. Dlatego proszę Cię, „Ślicznotko", o nadesłanie swej fotografii. Umieszczę ją na łamach „Krainy", aby Sympatycy zobaczyli tego nowego gościa, który zawitał do naszej „Rodzinki". O ile jednakże nie odpowiada Ci, Kochanie, moja prośba, daruj mi ją! Ale... zapomniałam napisać o Pani to, co wiem! Otóż ma Pani 19 lat, jest wesołą szatynką i tęskni za bratnią duszą. Tęsknota ta jest bardzo silną, więc powinna ziścić gorące pragnienia. Szczerze Ci tego życzę, „Ślicznotko"!

NIE TRZEBA BYŁO...

„Wandzia z B." Na szczęście nie potrzebowała Pani czekać na odpowiedź okrągłe trzy miesiące! Daję ją Pani już dzisiaj!

Pisze mi Pani na wstępie o niepokoju z powodu „popełnionego plagiatu". Droga „Wandeczko"! Nie trzeba było się martwić, skoro serduszko było czyste i spokojne. W takich wypadkach lęk jest zupełnie zbyteczny! Poza tym trzeba było od razu do mnie napisać, a ja napewno uspokoiła bym Panią.

Co do przesłania korespondencji, zastosuję się do życzeń Pani i na zakończenie ślę Pani bardzo serdeczny uścisk dłoni!

LIST WRÓCIŁ...

„Miluś II". Przesłałam Panu na poste - restante list, niestety, wrócił niepodjęty w terminie. Proszę o wiadomość, co z nim zrobić!

WIERZĘ...

„Maruta". Dobra Pani! Proszę przyjąć ode mnie szczery i serdeczny uścisk dłoni, jako podziękowanie za piękne odruchy serca dla moich Przyjaciółek z „Krainy". Wierzę, że Bóg zapłaci Pani za to, co wyświadczyła Pani tym, którzy potrzebowali pomocnej ręki. Dowody serca Pani są wzruszające. Proszę, niech Pani do mnie napisze!

OCZEKUJĘ...

„Humorystka". Zapowiedź Pani przyjęłam do wiadomości. Oczekuję z lekką niecierpliwością tego miłego liściku Pani i komunikuję, że list — przekazałam. Pozdrowienia Pani dla „Marzenki" i piękny uśmiech dla „Elem n. Notecią" — również przekazuję!

OBY ZAWAŻYŁ!...

„Sokół". List Pana jest tym razem poświęcony wyłącznie zjazdowi „Krainiaków" w Żninie, dlatego komunikuję Panu tylko, że głos Pana zapisałam i... oby zaważył na szali zwycięstwa strony aprobującej zjazd! Nie zapominam też przesłać w imieniu Pana kilka słów dla „Wichy":

„Wicho", czy odebrałaś ode mnie liścik? Dlaczego nie dajesz odpowiedzi"?

KTO PIERWSZY?

„Powerlesser" pragnie korespondować z morowymi Sympatyczkami i Sympatykami „Krainy". Chodzi mu o jednostki rozumne, inteligentne o nowoczesnych, zdrowych zapatrywaniach. Kto pierwszy napisze?

PROSZĘ NADESŁAĆ LIST NA MOJE RĘCE

„Wesoła Tusia spod Grudziądza". Przesyłam Pani następującą radę: proszę napisać liściki do wymienionego w liście Pani Sympatyka, włożyć w kopertę, nakleić znaczek i nadesłać na moje ręce, a ja z kolei przekażę list adresatowi. Bardzo serdecznie Panią pozdrawiam!

BRAK ADRESU

„Marusia" i *„Zonia"*. Dziewczynki Drogie! Bardzo mi przykro, ale listu nie udało mi się dotychczas przesłać, ponieważ nie posiadam adresu, o który chodzi. Nie martwcie się tym jednak, gdyż prędzej czy później list Wasz przekażę i tym samym życzeniu Waszemu uczynię zadość. Przyjmijcie ode mnie moc uścisków!

ZA POZDROWIENIA — DZIĘKUJĘ!

„Eros". Chyba większy żal jest po mojej stronie, że nie mogłam zamienić z Panem kilku słów, podczas jego pobytu w Żninie! Proszę mnie pocieszyć listem. Za pozdrowienia — dziękuję! Znalazłam je na białej kartce, na moim biurku. Byłam wzruszona!

LATO W PEŁNI

Ścielą się łany koniczyny sytymi barwami,
Złote fale żyta w wietrze się kołyszą —
szumem tajemniczym,
Pola kładą się pod ciężarem kłosów,
pełnych ziarn pszenicznych;
wzorzystym wieńcem,
A modraki patrzą błękitnymi plamami.
Hektycznym rumieńcem
Maki rozkwitają i grochowiska kwitnąć
wolno poczynają. — — —

Halina Hetloff.

Teczka Wujka Janusza

UTARTYM SZLAKIEM

Szukamy nowych dróg,
Ranimy ręce o odłamy stali,
Czekamy światła z tajemniczej dali,
Gdzie mieszka Wielki Bóg.
I siły trwoniąc tak
Człowiecze mrówki na wyścigi biegną,
Aż drogą umęczone — martwe legną,
Ciałami ścieląc szlak...
A ziemia jękiem drży
I dysze ciężko tą niedolą ludzi,
I nie chce ich do dalszej walki budzić,
Bo był — to ból i łzy.
Usłyszysz płacz i zgrzyt,
Gdy ucho do człowieczych skarg
przyłożysz;
Zobaczysz pustkę — gdy cię droga zmoży,
Bo cel — to nikły mit.

Maria Szczęsnowiczowa.

LIST ZOSTAŁ WYSŁANY!

P. F. K. N. List został wysłany. Za pozdrowienia dziękuję i ślę ich również moc!

NIE WOLNO MI...

„Waściszak". Przypuśćmy, że Pan ma rację: w „Teczce" znajdują się nieraz bardzo słabe utwory, ale zupełnie nie rozumiem dlaczego i Pan słabo pisze. Chcąc krytykować, trzeba najpierw dorość do tego! W „Teczce" zamieszczam nieraz wiersze słabsze, bo chodzi mi oto, aby zachęcić zdolne jednostki do pracy, ale w żadnym wypadku nie zamieszczę wierszy Pana. To ignorancja poezji pisać nie tylko źle ortograficznie, ale i o rzeczach, o których nie ma się najmniejszego pojęcia. Nie wolno mi tego tolerować, gdyż inaczej stałbym się notorycznym szerzycielem grafomanii. Pan to rozumie, prawda?

CHYBA NIE!

„Ferdy". Nowela Pana oraz cztery wierszyki — wpłynęły do mojej „Teczki" i tutaj spotkał je smutny los, mianowicie kosz redakcyjny. Czy przykro Panu? Chyba nie! Pierwsze początki są zawsze trudne. Proszę zatem pracować dalej nad sobą i przyjąć ode mnie życzliwy uścisk dłoni.

DAWNO JUŻ...

„Uran". Dawno już nie otrzymałem tak serdecznego listu, jak ostatnio od Pana. Ma Pan czułe serce, Panie „Uranie"!

Do druku wybrałem tym razem następujące utwory Pana: „Tęsknię...", „Kiedyż się zbudzi"..., „Z rannym marzeniem..." i „Noc".

KOCHAM...

Kocham tak cicho, a tak serdecznie
Twe czyste serce, twą piękną duszę
I kochać będę, o Boże, wiecznie —
Wszak ty kazałeś, wszak kochać muszę...

„Uran".

JAK TO ŁADNIE...

„Przedwiośnie". Jak to ładnie z Pani strony, że przejeżdżając przez Wisłę, przypomniała sobie Pani o mnie. Znam to uzdrowisko i dużo wspomnień mnie z nim łączy. Pomyślnych i beztroskich wakacyj! Dużo serdeczności i pozdrowień! — Śle Pani zawsze wierny przyjaciel.

wybudował słynny zamek warowny. Teraz Ren rozszerza się, otwierając rozległy widok na wioski kwitnące w dolinie czerwienią dachówek, a oto tutaj, w pobliżu Weissenthurm, Rzymianie usiłowali przejść rzekę wpław, a w roku 1797 wojska francuskie pod dowództwem Hoche'a zdobyły pzeciwległy brzeg. Niedaleko Koblencji widnieje pomnik dwóch generałów francuskich, a wkrótce już i Koblencja wyłaniała się na horyzoncie, z wysokim szczytem górskim, oplecionym winnicami i świerkowymi lasami, ponad którymi wystrzela w górę Fort-Alexandre.

Na prawo, w głębokiej rozpadlinie doliny, niesie swoje zimne wody Moza. W pobliżu St. Goar widać ruiny Rheinfelsu, w dali olbrzymie skalne szczeliny przeświecające tonami łupku i bazaltu. Pośród okrytych blaskiem słońca lasów, gotyckich wież, rozległych dolin, snują się wspomnienia bohaterycerzy, obozów rzymskich, żołnierzy hanzeatycrycerzy; obozów rzymskich; żołnierzy hanzeatyckich...

Z pokładu statku biegnie okrzyk: „Niech żyje para arcyksiążęca!" Okrzyk, podchwycony przez skały Lurleiberg, powraca pięciokrotnym echem, wywołując uśmiech na ustach młodych małżonków. Siedem skał o tajemniczym głosie symbolizuje postacie nieziemsko pięknych dziewic, uwiecznionych w legendzie. Fale Renu toczą się gwałtownie, z piekielnym hałasem, gdy statek przepływa obok Oberwesel, słynącym z tego, iż łososie składają tu swą drogocenną ikrę.

Życie płynie jak wody Renu! Karolina uśmiecha się do Maksymiliana. Miłość łączy ich ramiona wsparte na balustradzie okrętu. Urok i czar nowości wyzwolonych z lodowatej etykiety i bezmyślnych konwenansów! Jakież piękne krajobrazy! Zachwycająca podróż poślubna, u celu której oczekuje czarowne królestwo na pięknej ziemi latyńskiej, gdzie młody wicekról będzie sprawować rządy.

Oto stroma skała Gutenfels, u stóp której Gustaw Adolf walczył z Hiszpanami. Tutaj, zjednoczone w r. 1814 armie, pruska i rosyjska, przeszły Ren do walki z Napoleonem. Oto stare bastiony Bacharachu, siedlisko diabła; oto wyniosłe ruiny Falkenburgu, rzucające cień na pokład statku. Oto kraj burgrabiów i legend — Szczurza Wieża otoczona ponurym podaniem o biskupie Hatto; a oto zalotne miasto Bingen; winnice Ruedesheimu i ruiny z czasów Karolingów, oto Johannisberg i winnice Metternicha, oto opactwo Erbach i Eltville, stolica Rheinau, błogosławionego kraju, gdzie urodził się Rheingau, błogosławionego kraju, gdzie urodził się talnym pałacu o stu kolumnach, opiewanych przez poetę Nigillusa.

Gdy statek przybija do Moguncji, Karolinę ogarnia smutek i żal. Arcyksiężna pragnęłaby, by ta czarująca podróż trwała bez końca, lecz życie nakazuje co innego. Trzeba teraz udać się do Wuerzburgu i zwiedzić Norymbergę, lenno Hohenzollernów, którzy tu byli landgrafami w XII wieku, wtedy gdy Habsburgowie stali się już panującą rodziną. Karolina jest oczarowana: ulice i uliczki piętrzą się nierównymi szczytami domów, brzuchatymi fasadami i olbrzymimi, czerwonymi dachami, spod których patrzą ku niebu malutkie okienka! W górze wznosi się pałac Konrada II, gdzie zamieszkiwał Fryderyk Rudobrody, wielki cesarz Niemiec!

„Fryderyk Rudobrody panował w XII wieku, wówczas gdy mój pra-pradziad Albert otrzymał od Henryka I-go hrabstwo Zurychu, nosząc tytuł landgrafa Alzacji.

„Jakież to wszystko jest odległe! Czy wiesz, najdroższa, iż Rudolf Habsburg został obrany cesarzem Niemiec w r. 1273 i że właśnie założył dynastię austriacką? Czy wiesz, iż moi przodkowie, przechodząc przez rozmaite koleje losu, stworzyli wielkość naszej rodziny, a to: Fryderyk III, król Niemiec, Albert II, Otto książę Karyntii, Ludwik II, król węgierski (którego nie należy utożsamiać z krewnym cesarzowej Elżbiety, twej szwagierki, a obecnym dziedzicem tronu bawarskiego). Maksymilian, syn Fryderyka II, zaślubił księżniczkę burgundzką i jako cesarz Niemiec dał życie Filipowi, mężowi Joanny Szalonej, która zaliczała Hiszpanię do swych państw lennych. Syn Filipa — to nasz sławny przodek, cesarz Niemiec Karol V, a brat jego Ferdynand był królem Czech i Węgier.

„Od Ferdynanda I-go rozpoczyna się linia niemiecka austriackich Habsburgów. Ostatni jej potomek, Karol VI pozostawił córkę, słynną Marię Tedojdzie do Wiednia. Lepiej nie powracać do tych niemiłych wspomnień!

Przez Ratyzbonę przepływa Dunaj, piękny, niebieski Dunaj, który przepływa przez cały obszar cesarstwa austriacko-węgierskiego. Od roku 1830 kursują na nim parowce, poczynając od Ulm i dochodząc aż do Rumunii. Na najwspanialszym statku towarzystwa żeglugowego, ozdobionym cesarskimi sztandarami i barwami belgijskimi, udekorowanym girlandami zieleni i kwiecia, płyną do Wiednia ich Królewskie Wysokości.

Upalne i suche dni sierpniowe sprzyjają żniwom. Włościanie, spaleni słońcem zbierają zboże ze swych pól. Młodzi małżonkowie znajdują się już na terytorium swego państwa, w kraju Habsburgów. Naród wie o tym, iż arcyksiążę powraca do stolicy ze swą piękną, młodą małżonką, toteż we wszystkich nadbrzeżnych wioskach wznoszą się tryumfalne łuki, powiewają transparenty z życzeniami, słychać wiwaty i okrzyki radości. Statek płynie powoli wśród rozradowanych poddanych, witających z zapałem królewską parę i Karolina, wzruszona, pozdrawia wdzięcznym skinieniem ręki biegnące wzdłuż wybrzeża dzieci.

Oto ziemia austriacka, ziemia Habsburgów; nowa, nieznana ojczyzna, kraj, który wzbudza w sercu młodziutkiej arcyksiężnej największe, najszlachetniejsze, najtkliwsze uczucia.

Wierzby i topole okalają dwoma alejami brzegi Dunaju; przestrzenie pokryte złotym piaskiem ustępują pięknym lasom. Oto złociste sady i skupione miasteczka, zamieszkałe przez ludność o odwiecznych tradycjach.

resę, która poślubiła księcia Franciszka Lotaryńskiego, założyciela naszej linii Habsburgów lotaryńskich.

„Wszystko to wydaje się bardzo skomplikowane, ale jestem pewien, najdroższa, że wkrótce łatwo będziesz się w tym orientowała. Jakaż to cudowna rzecz móc sobie powiedzieć, iż jesteśmy potomkami i następcami Karola V, cesarza rządzącego niezliczonymi narodami; czyż nie można być dumnym na myśl, iż trochę jego krwi płynie w moich żyłach, że tak jak on, mam świadomość wielkości i obowiązków naszej dynastii, że powołany jestem do czynów godnych mych wielkich przodków, i że ty, droga Karolino, będziesz mi pomocą w spełnianiu tych zadań.

„A czyż nie napawa nas dumą myśl, iż wszystkie te piękne okolice, które teraz podziwiamy, należą do krajów, którymi rządzili członkowie naszej rodziny panującej, iż to zachwycające miasto Norymberga widziało największych z nich jako zwycięzców, że w tym samym miejscu, przed Frauenkirche, gdzie my teraz stoimy przez niego niespostrzeżeni, przechodzili nasi przodkowie, a ukazanie się ich uświetniane było flagami, sztandarami, wojskowymi paradami i okrzykami tłumów".

Ciąg dalszy w nast. numerze.

BOHDAN LEKSZYCKI

2)

Tajemnica inż. Sommersonne'a

POWIEŚĆ SENSACYJNA

— Nikogo nie widziałem, ale korytarz był zabłocony. Muszę stwierdzić, że pan inżynier nie mógł tego uczynić, zawsze bowiem z nadzwyczajną starannością wyciera nogi.

— Hm...

W mózgu zastępcy kierownika zaczęło świtać jakieś podejrzenie, którego sam nie umiałbym teraz zdefiniować.

— A drzwi wejściowe?

— Otwarte były na całą szerokość. Furtkę ogrodową zastałem zamkniętą, bo posiada zatrzask.

W tej chwili dał się słyszeć dźwięk dzwonka.

Stary sługa poderwał się z miejsca.

— Przepraszam panów, pan inżynier dzwoni...

Po minucie wrócił, a twarz jego wyrażała zadowolenie.

— Pan inżynier prosi panów. Czuje się już prawie dobrze.

— Kocmyra zostanie przy kasie — rzekł zastępca. — Uważać na odciski palców.

Poszli.

Rzeczywiście Kulicki siedział w łóżku. Blady był bardzo, ale wyraz jego twarzy zdradzał energię i zaciętość.

— Niezmiernie rad jestem, że panowie zechcieli od razu przybyć... — rzekł. — Poniosłem ogromną stratę, której nie da się w ogóle powetować, jeżeli plany nie odnajdą się, bo nie były one ubezpieczone, co zresztą jest wielką lekkomyślnością z mojej strony.

Głos inżyniera był spokojny i opanowany, ale stary policjant wyczuł w nim ukryte wzburzenie.

— Jak się cyfrowo przedstawiają straty, panie inżynierze? — zagadnął rzeczowo.

— Plany były ogromnej wartości, ale przedwcześnie mówić o tym, ludzkość bowiem...

Machnął ręką.

— Słowem, dla mnie wartość ich była bardzo wielka, niewyrażalna w cyfrach. Natomiast, panie komisarzu...

— Jestem starszym przodownikiem — pzerwał chłodno zastępca.

— A więc, panie starszy przodowniku, jeśli chodzi o wartość, będę mówił tylko o klejnotach, no i o gotówce, której posiadałem w kasie okrągło 30 tysięcy złotych...

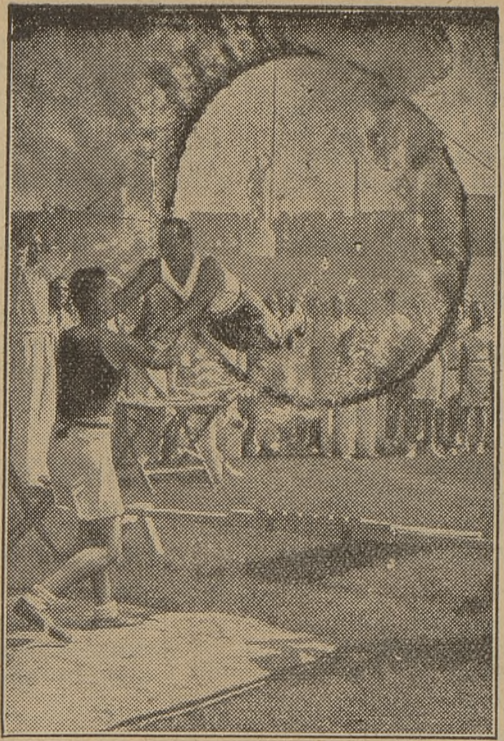
— I pan taką sumę lokował we własnej kasie?

— Pieniądze te mogły mi być potrzebne każdej chwili, wolałem więc mieć je pod ręką. Zresztą nikt o tym nie wiedział...

— A stary pański służący?

Inżynier jakby zawahał się, co nie uszło uwagi starego policjanta.

— Tak, to prawda, stary Piotr wiedział o tym, ale on tak jest przywiązany do mnie... Przecież wypiastował mnie jako malca... Nie, on stoi poza wszelkimi podejrzeniami.



Minister włoski Starace w skoku, przez płonącą obręcz podczas zawodów gimnastycznych, zorganizowanych przez Mussoliniego dla najgłówniejszych postaci partii faszystowskiej

Zastanowił się chwilę, po czym ciągnął dalej:

— A co do klejnotów, to były to cenne precjoza rodzinne, arcydzieła starej sztuki złotniczej. Dla amatora... No, mniejsza z tym, wartość kruszcu i kamieni szlachetnych na pewno nie była mniejsza, jak 40 do 50 tysięcy złotych...

Zastępca złożył usta jak do gwizdania.

— A więc razem około 75 tysięcy złotych plus cenne plany... I to wszystko nie było ubezpieczone?

— W tym właśnie sęk, że nie było.

— Zechce pan teraz opowiedzieć mi przebieg owego rabunku.

Inżynier opowiedział, dodając, że po przyjściu do siebie doszedł do przekonania, że napastnik w spódnicy był kobietą kaleką, świetnie ucharakteryzowaną i jeszcze świetniej grającą swoją rolę. On, pozytywista, stanowczo musi odrzucić wszelkie przypuszczenia nadnaturalności owej nocnej wizyty, aczkolwiek... Nie, ów trupi odór musiał być halucynacją węchową... Zresztą nic nie będzie twierdził. W gruncie rzeczy nie jest pewien niczego. Ta nocna przygoda była straszna. Gdyby powtórzyła się — oszalałby napewno.

Zastępca kręcił głową. Jakoś niebardzo wierzył w to wszystko: zanadto było cudaczne. Życie nie jest romansem kryminalnym. Rzeczy niezwykłe już przez swoją niezwykłość są podejrzane. Okazuje się potem, że są „robione". Czy i tu...?

Nie dokończył myśli, bo oto drzwi sypialni otworzyły się nagle i ukazał się w nich wysoki, chudy, wygolony mężczyzna, z fajką w zębach, odziany w kraty. Płaszcz, spodnie wyglądające spod płaszcza, wszystko kratkowane. Operetkowy detektyw angielski.

— Jestem Edward Witt, agent towarzystwa ubezpieczeniowego „Globus"... — wyrzucił z siebie, machając kratkowaną czapką.

Starszy przodownik podniósł brwi do góry, nie odezwał się jednak ani słowem. Czekał.

— Sprawcy ujęci?... — trzepał agent. — Czy mogę dowiedzieć się szczegółów? Otrzymaliśmy depeszę i wydelegowano mnie po bliższe informacje... No, bo, przyznają panowie, pół miliona złotych to nie bagatelka! Musimy dokładnie wiedzieć... No, nie, nie mamy żadnych podejrzeń, broń Boże, ale tak dla porządku!...

Stary policjant spojrzał na inżyniera zza przymrużonych powiek.

Kulicki był trupio blady.

V.

ŚLADY NA DYWANIE

— A więc jednak, panie inżynierze... — rzekł słodko zastępca kierownika.

Inżynier spojrzał nań pół przytomnie.

— Nic z tego nie rozumiem, przysięgam panu... — szeptał nerwowo wyłamując sobie palce u rąk. — To jakieś straszne nieporozumienie...

Agent stał na środku pokoju. Usta jego niepomiernie szerokie, otwierały się teraz w sposób wyrażający niezmierne zdumienie. Długi, haczykowaty nos zwisał melancholijnie nad tą otchłanią.

— Polisa ubezpieczeniowa opiewa na nazwisko inżyniera Zbigniewa Kulickiego — bąknął wreszcie. — Chodzi o plany wynalazków, ubezpieczenie od kradzieży... Czy tu zaszła omyłka?

— Nie, nie omyłka, uspokój się pan — powiedział twardo starszy przodownik. — O ile się nie mylę, jest to coś znacznie gorszego, niż omyłka!

— Co pan przez to rozumie, panie... panie...?... — rzucił gwałtownie inżynier.

Policjant utkwił w nim chłodne spojrzenie swych ciężkich źrenic. Ale nim odpowiedział, ukazał się w drzwiach inny znowu mężczyzna, średniego wzrostu, w szarym prochowniku, w rogowych okularach na małym, spłaszczonym nosie.

— Uszanowanie! — rzekł wolno, jakby z namysłem — Nazywam się Klimczak, Stefan Klimczak. Przybywam z towarzystwa ubezpieczeń „Jowisz" na skutek zawiadomienia o kradzieży klejnotów, oszacowanych na 50 000 złotych...

Starszy przodownik powstał nagle z krzesła.

— Jestem zmuszony poprosić pana, panie inżynierze, o pofatygowanie się do wydziału śledczego... — rzekł sucho, nie patrząc na Kulickiego.

Wargi inżyniera zadrżały.

— Czy jestem aresztowany, panie przodowniku? — spytał złamanym głosem.

— Nie, ale zeznania pańskie muszą być zapisane do protokółu.

— Mój pacjent nie może opuszczać łóżka, proszę pana... — odezwał się lekarz, siedzący dotąd w milczeniu.

— Przeciwnie, panie doktorze, muszę pójść, to leży w moim własnym interesie... Zresztą nie czuję się źle...

Lekarz wzruszył ramionami i powstał. W takim razie rola jego jest tu już skończona.

Ledwo zamknęły się za nim drzwi, gdy wpadł wywiadowca Kocmyra, stając w postawie służbowej.

— Panie zastępco, melduję, że Filek nie może zdjąć odcisków palców, bo zostały starte...

— Jakto? Co pan tu opowiada?! — rzucił się starszy przodownik.

— Filek stwierdza, panie zastępco, że cała kasa została niedawno zmyta naftą...

Policjant polecił podwładnym, by nie opuszczali sypialni inżyniera, sam zaś szybkim krokiem przeszedł do gabinetu. Za nim pobiegli obaj agenci ubezpieczeniowi.

Wywiadowca Filek badał przez lupę wewnętrzne ściany kasy, miejsce koło miejsca.

— Co się stało, panie Filek?

— Ktoś wytarł całą kasę naftą najdalej przed dwiema godzinami...

Zastępca powąchał pancerne drzwiczki.

Nie ulegało wątpliwości: nafta. Zupełnie świeży zapach. Filek ma rację... A więc? Tak, to mógł uczynić tylko jeden człowiek ...On jest przywiązany do mnie... Przecież wypiastował mnie jako malca..." Bo komuż by innemu zależało na zatarciu śladów... oszustwa ubezpieczonego? Och, panie inżynierze, panie inżynierze! Ten straszliwy trup... co za bujdy! Czy on nas uważa za głupców?...

— Przyprowadzić tu służącego!

Ledwo stary wszedł, policjant „wsiadł na niego prosto z mostu":

— Dlaczego pan zatarł naftą odciski palców?

Odpowiedź była niespodziewana.

— Kasa była brudna, były na niej ślady zabłoconych łap. Ledwom doczyścił się. Jakie odciski?...

Starszy przodownik więcej był zdumiony, niż ten, którego chciał wprowadzić w zakłopotanie.

Czy on rzeczywiście taki głupi, czy też udaje głupiego?

— Nie udawaj pan, że nie wiesz, co to są odciski palców, pozostawiane na poszczególnych przedmiotach przez złoczyńców. Niewątpliwie czytujesz pan gazety?

— Czytuję i rozumiem, co to są ślady. Dlatego nie czyściłem dywanu, na którym są bardzo ciekawe ślady stóp, ale odciski palców...? Pierwsze słyszę.

— No, no, zobaczymy jeszcze!

Nachylił się nad dywanem, na którym przedtem zauważył tylko błoto. Ale i teraz nic nie dojrzał ciekawego. Nie dał jednak za wygraną. Klęknął i badał dalej. Służący miał rację. Na orzechowym obramowaniu purpurowo-czerwonego ornamentu widniały trzy odciski, bardzo wyraźne. Duża stopa, bucik męski, bez obcasa, ale podeszwa, najwidoczniej gumowa, opatrzona była trójkątnymi, wydrążonymi w środku zgrubieniami, które zostawiły na pilśniu tak wyraźne ślady, jak pieczęć kauczukowa. Po co te zgrubienia? Czy miały one ochronić przed pośliźnięciem się?

Policjant powstał i podejrzliwie spojrzał

— Jak pan to zauważył?

— Spostrzegłem na dywanie coś błyszczącego i schyliłem się. Podniosłem niklową śrubkę i jednocześnie zobaczyłem ślady. Nie czyściłem dywanu, bo myślałem, że będzie można po nich dojść, kim był złodziej...

Stanowczo ten stary jest za sprytny... I jak z tym zestawić jego rzekomą ignorancję, jeśli chodzi o odciski palców?

— Gdzie ta śrubka? — zapytał nagle.

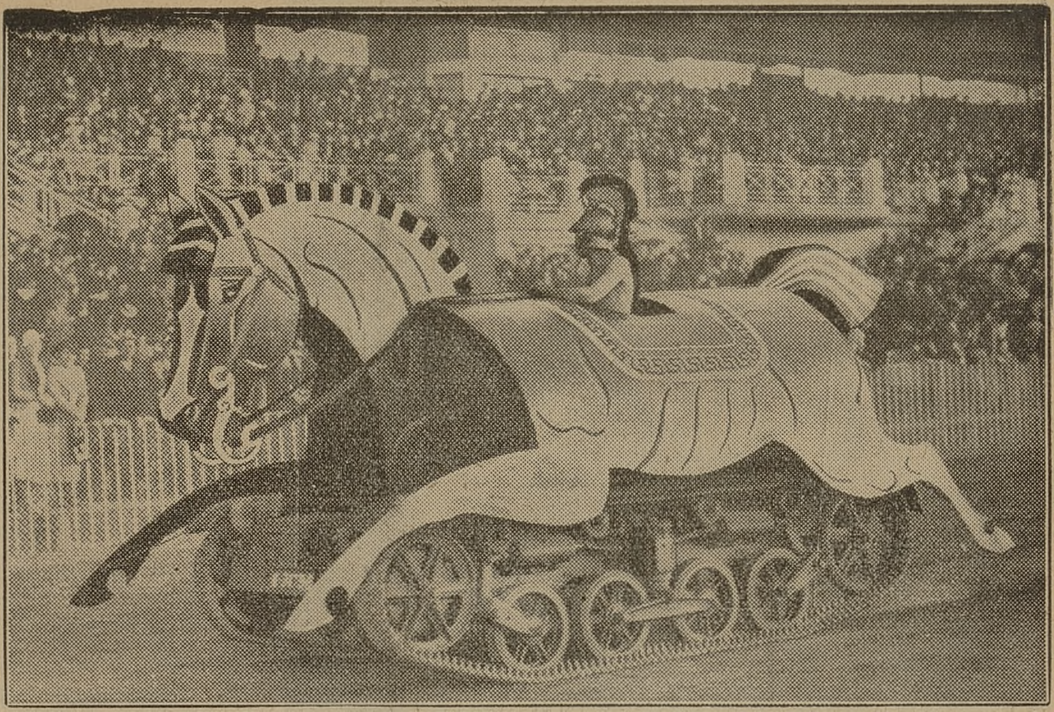
Służący wyjął z kieszonki kamizelki szczególnego kształtu mutrę niklowaną.

— Jest! Jest, panie zastępco! — zawołał Filek.

— Co jest?

— Odcisk palca na dnie kasy!

— Aa, jednak jest! — policjant spojrzał z nieukrywanym triumfem na służącego. Twarz starego Piotra była jednak zupełnie obojętna.



Trojański koń XX w., zmontowany na czołgu, ukazał się na pokazie koni w Vincennes pod Paryżem

VI.

ODCISKI PALCÓW... TRUPA

Okazało się, że identyczne odciski palców widniały na biurku, na drzwiach od gabinetu, na drzwiach od korytarza. Ale ku zmartwieniu zastępcy kierownika, okazało się także, że nie pozostawił ich ani inżynier Kulicki, ani jego stary służący. Niezwykłe, bardzo skomplikowane pętlicowe linie papilarne nie zostawiały ani cienia wątpliwości w tym względzie.

— Znam skądś te odciski... — mruczał, zastanawiając się głęboko, wywiadowca Filek. — Psiakrew, nie mogę sobie przypomnieć!

I w wolnych chwilach grzebał w kartotekach przestępców, spodziewając się natrafić na ślad, ale jakoś nie udawało mu się to.

Rewizja natomiast dokonana w gabinecie Kulickiego, wykryła tajny schowek w biurku, a w nim... dwie polisy ubezpieczeniowe, jedną na pół miliona, drugą na 50.000 złotych. Sędzia śledczy, mając takie corpora delicti, które nabierały wartości dowodowej tym większej, że inżynier zaprzeczał, jakoby ubezpieczał plany i klejnoty, — zastosował areszt prewencyjny zarówno wobec Kulickiego, jak i wobec jego starego służącego.

A tymczasem posterunkowy nr. 341, dowiedziawszy się od wywiadowców o całej historii, zameldował się tego samego dnia u kierownika wydziału śledczego i nie kryjąc bynajmniej swego przerażenia, opowiadał o swej nocnej przygodzie.

Słowa inżyniera znalazły zatem potwierdzenie człowieka wiarogodnego, posterunkowy nr. 341 cieszył się bowiem opinią poważnego i służbistego policjanta.

Na drugi dzień rano zgłosił się także stary dorożkarz nr. 73, przeczytawszy w gazetach o „rzekomej kradzieży klejnotów i planów przez straszliwego trupa".

Trzech ludzi zatem stwierdzało istnienie poczwarnej zjawy kobiety, trzech ludzi zrównoważonych i bynajmniej nie skłonnych do jakichkolwiek przewidzeń i zamroczeń.

— Głupia historia! — mówił kierownik brygady kryminalnej do swego zastępcy. — Kasa otwarta kluczami Kulickiego, otwarta, mimo, że jak sam on stwierdza, nastawiona była przezeń przed wyjściem do teatru na słowo „aspik" — „As pik", tytuł farsy, na którą się wybierał. Któż by wpadł na to? Czy wierzy pan w jasnowidztwo? A ten... trup, ta zjawa, w którą muszę teraz wierzyć, a w którą nie mogę uwierzyć...

— I inżynier był naprawdę w teatrze, a opinia, zarówno jego, jak i służącego jest pierwszorzędna. Prócz tego jest on człowiekiem bogatym, bo chociaż owe 30 tys. to jego cały majątek w gotówce, to jednak posiadał on wielki majątek ziemski i kilka kamienic, w Warszawie i w Katowicach, zakupionych za znaczne kwoty, uzyskane ze sprzedaży kilku wynalazków. A zatem nie potrzebował on uciekać się do tak naiwnego oszustwa, choćby dla uzyskania pół miliona...

— Tak, — potwierdził kierownik — przemawia za nim jego dobra opinia, ale to mało; bogactwo, ale to jest niewystarczające; zeznanie służącego — mało wiarogodne; opowiadanie o trupie — jeden wielki znak zapytania. A przeciwko niemu? Polisy ubezpieczeniowe na 550 tysięcy złotych, które celowo ukrywał; zatarcie odcisków palców, prawdopodobnie jego wspólnika i — cała niewiarogodność owego napadu... Więcej jest contra, niż pro i dlatego sędzia śledczy ma rację.

Gdy tak rozmawiali, dało się słyszeć pukanie do drzwi.

— Wlazł! — rzucił bezceremonialnie kierownik.

Do pokoju wpadł wywiadowca Filek. Był podniecony. Bladł i czerwieniał naprzemian.

— No, co się stało?

— Panie kierowniku, melduję, że odciski palców, znalezione przez nas w willi inżyniera Kulickiego, należą do...

Utknął nagle, jakby zachłysnął się.

— Do kogo? Gadajże pan!



Gen. Christiansen wita we Wrocławiu lotniczki niemieckie, odbywające raid dokoła Rzeszy.

— Do Pauliny Staszowskiej, trzykrotnie karanej za kradzieże. Pętlice papilarne identyczne, omyłka wykluczona.

— A zatem sprowadzić tę złodziejkę i przesłuchać.

— Kiedy nie możemy jej sprowadzić, panie kierowniku, bo...

Znowu utknął.

— No, gadajże pan nareszcie po ludzku, do stu piorunów!!!

— ...bo Paulina Staszewska zmarła przed trzema laty...

Podkomisarz skoczył na równe nogi.

— Cooo?!

— ...a trup jej zniknął bez śladu z domu żałoby 21 października 1930 roku... Śledztwo nie dało wyników...

VII.

RABUNEK U JUBILERA

Kierownik i jego zastępca nie ochłonęli jeszcze ze zdumienia, gdy znowu dało się słyszeć pukanie.

Wpadł dyżurny wywiadowca, ocierając pot z czoła.

— Panie kierowniku, melduję, że dokonano napadu na magazyn jubilerski Rosenberga, przy ulicy Modrzejewskiej...

— Do diabła! Bania się chyba rozbiła z tymi napadami. Kiedy?

— Przed pół godziną...

— Szczegóły?

— Straszliwy trup, jak go nazywają gazety...

— Co? Co pan plecie? Czy i pan zwariował?

— Jest tu sam Rosenberg, który był wówczas w magazynie...

— Dawać go tu!

— Rozkaz!

Do gabinetu wszedł niski, gruby jubiler. Oczy jego, okrągłe jak u sowy i wyłupiaste, pełne były przerażenia.

— Och, pan kierownik!... Ledwo żyję, na moje serce!

— Opowiadaj pan wszystko, krótko i treściwie! — rzekł sucho kierownik.

I oto przed oczami dwóch funkcjonariuszy policji kryminalnej przesunął się barwny opis nieprawdopodobnego rabunku, niby kawał taśmy z mocno naciągniętego filmu amerykańskiego.

O godzinie 11-ej przed południem jubiler zajęty był okurzaniem biżuterii, posiadanej jeszcze z czasów przedwojennych. Interes kiepsko idzie, toteż w magazynie zatrudniona jest tylko jedna sprzedawczyni. Żona jubilera udała się do mieszkania, by przygotować obiad , toteż w sklepie było tylko dwoje ludzi.

Naraz jubiler zauważył przez szklane drzwi wejściowe, że przed magazynem zatrzymała się ciemno-zielona limuzyna, z której wysiadła jakaś wysoka, czarno ubrana kobieta.

W następnej chwili otwarły się drzwi i owa kobieta weszła do sklepu.

Jubiler sądząc, że ma do czynienia z zamożną klientką, podbiegł do niej.

W tym samym momencie ekspedientka wydała zdławiony okrzyk trwogi i osunęła się na podłogę.

Wtedy usłyszał cichy, ale dziwnie straszny śmiech. Spojrzał znów w twarz klientki i przerażenie zmroziło jego mózg. Usta kobiety otwarte były szeroko, a błyszczące podniebienie drgało od śmiechu.

Twarz o cerze zielonawo-żółtej pokryta była silnymi plamami, plamami, jakie jubiler widział raz na policzkach wisielca-samobójcy, który trzy dni wisiał na strychu jego kamienicy, nim dozorca zauważył zwłoki... A w nozdrza Rosenberga bił ohydny, niemożliwy do zniesienia zaduch, jak wtedy od tego wisielca...

I jubiler przypomniał sobie nagle artykuł, jaki czytał poprzedniego dnia o okradzeniu inżyniera przy ulicy Piłsudskiego. Artykuł nieprawdopodobny, artykuł, w który nie wierzył nawet przez sekundę, artykuł o Straszliwym Trupie...

I ten Straszliwy trup stał teraz przed nim, śmiejący się jak wcielenie diabła. Stał przed nim, a potworna woń rozkładu zionęła dokoła i odbierała niemal zmysły. Stał, a jego sztywna, dziwnie sztywna ręka wyciągnięta była rozkazującym ruchem w stronę kasy.

— K-l-ucz!

Jubiler bliski był obłąkania z przerażenia, ale choć rozumiał, o co zjawie chodzi, wahał się. Wydać klucz — znaczyło stracić najcenniejszą biżuterię. Wydać klucz — znaczyło stracić wszystkie weksle na wiele, wiele tysięcy złotych. Wahał się. Może Bóg, ich Bóg, Bóg Żydów — Jehowa zmiłuje się i sprowadzi mu pomoc... Może Jehowa sprawi cud i uratuje go przed ruiną... Przecież co sobotę modli się gorąco i szanuje sabat, szanuje religię dziadów...

— K-l-ucz!

I Straszliwy Trup począł zbliżać się do niego na swoich sztywnych nogach. Raz, dwa... raz, dwa... raz...

Ratuj Shaddai!... Ratuj Elohim!

— Ratuj, ratuj... Adonai!

Raz ,dwa... raz, dwa...

Cofał się wtył, zasłaniając się trzęsącymi rękami.

A za nim postępowała straszna zjawa.

Raz, dwa... raz, dwa...

Wreszcie nie miał już gdzie uciekać. Plecami oparty był o ścianę. Z boku kasa, z drugiego boku oszklona gablotka...

Straszliwy Trup stał o krok przed nim.

— K-l-ucz!

Zeschłe, oliwkowe wargi odsłaniały czarne, spróchniałe zęby, zza których błyszczało podniebienie... A za kontuarem zemdlone ciało młodej ekspedientki... Nad sufitem jego żona, gotująca obiad... A za szklanymi drzwiami ciemno-zielona limuzyna, którą co chwilę przesłaniają postacie przechodniów... Mignęła granatowa czapka policjanta. Ktoś śmieje się na ulicy, jakaś młoda dziewczyna... I słońce świeci, jesienne słońce...

— K-l-ucz!

A więc nie ma już dla niego ratunku. W odruchu rozpaczy wyciąga z kieszeni pęk kluczy i podaje je poczwarnej zjawie.

I wtedy czuje jak zimna, lodowo zimna trupia ręka obejmuje jego dłoń, jak kościste palce ślizgają się po jego skórze...

Z gardła jego wydobywa się charkot grozy. Zamyka oczy. Nie chce widzieć nic, nic.

Gdy otwarł znów powieki, kasa była pusta, a spod szklanych drzwi ruszała ciemno-zielona limuzyna... Zemdlona ekspedientka siedziała na podłodze i błędnymi oczyma rozglądała się dokoła.

VIII.

PRZEMYCONE IMITACJE

— Znów... — wyrwało się z gardła starszego przodownika.

Twarz kierownika była chłodna i niewzruszona. Siłą woli opanował nurtujące w nim wzburzenie.

— Dużo pan stracił, panie Rosenberg? — zapytał spokojnie.

— Och, dużo, bardzo dużo... Biżuteria warta była najmniej 400 tysięcy złotych, a weksle...

W oczach jubilera widać było wahanie i obawę. Nie uszło to uwagi podkomisarza.

— Czy pan trudnił się pożyczaniem pieniędzy na procent?

Blada twarz Rosenberga poszarzała.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Raj kobiet



Bardzo ładny model ciemnej sukienki, pięknie haftowanej.

Dzielna Chinka dowodzi „Batalionem śmierci"

W całych Chinach odbiło się głośnym echem nazwisko młodej Chinki Lieu Szan Yin, która zorganizowała t. zw. „Batalion Śmierci" złożony z 6 tys. kobiet i 90 tys. mężczyzn. „Batalion" ten walczy na tyłach armii japońskiej, ale nie w zwartym szyku liniowym, lecz w partyzanckich oddziałach, które nękają armię japońską i bardziej jej się dają we znaki, niż regularna walka frontowa.

Odwaga bohaterskiej Chinki jest tak wielka że nazywają ją imieniem legendarnej postaci „Hwa Molan".

Lotnik amerykański, Jerzy Hammondmond opowiada, że widział tę bohaterkę „przy pracy" i nie może wyjść dla niej z podziwu. Oddziały „Batalionu Śmierci" pracują normalnie przez 4 lub 5 dni w tygodniu wraz z ludnością cywilną. Szósty siódmy dzień jest przeznaczony na wypad zbrojny. Wypady te sieją demoralizację na tyłach armii japońskiej. Pewnego razu oddział kobiet złożony z 500 młodych Chinek, zetknął się z kompanią żołnierzy japońskich. Bitwa była niezwykle zacięta i krwawa. W wyniku jej tylko 90 Chinek powróciło do obozu, ale zato prawie wszyscy Japończycy zginęli. Marszałek Czang Kaj Szek twierdzi, że ten nieregularny „Batalion Śmierci" wart jest tyle co 3 dywizje armii regularnej.

Miasto pięknych kobiet

Zdobyta przez wojska powstańcze Malaga nieraz już była wymieniana w ciągu ostatnich lat sześciu, to znaczy, od chwili, gdy Hiszpania przestała być monarchią.

Gdy, z Hiszpanii, wkrótce po przewrocie majowym w roku 1931, rozeszły się w świat wiadomości, o paleniu kościołów i klasztorów, Malaga w tej robocie należała do najgorliwszych Malaga była jednym miastem w Hiszpanii, gdzie na wzór Sowietów, potworzyły się bandy dzieci bez opieki, stanowiące straszną plagę dla miasta i okolicy.

W Hiszpanii panowały warunki normalne. Malaga nie należała do miast, które ściągają turystów ze względu na swe bogate muzea, czy też zabytki architektoniczne. Ale dla łagodności klimatu, który nie znał wielkich skoków, latem czy zimą oraz dla piękności położenia Malaga cieszyła się wielkim powodzeniem. Bardzo wiele osób, zmuszonych do spędzania czasu na południu, zamiast wyruszyć do Egiptu, czy na Sycylię, zatrzymywało się w Maladze.

Malaga liczy 150.000 ludności i jest stolicą Andaluzji, prowincji na wskroś rolniczej. dami Maurów stała się portem królestwa Granady. Dopiero w roku 1487 została odzyskana Podzidzi jeszcze z czasów Fenicjan, a pod rządprzez ludność chrześcijańską, jest to niewątpliwie jeden z najbardziej ruchliwych portów na wschodnim wybrzeżu Hiszpanii.

Kobiety Malagi słyną na całą Hiszpanię z nadzwyczajnej piękności. Dzieje się tak m. in. i dlatego również, że wśród mieszkanek tego miasta bardzo często stosunkowo, spotyka się blondynki (naturalne), a to ubarwienie włosów w krajach południowych jest szczególnie rzadkie i cenione. Fakt powstania tak odrębnego typu urody tłumaczyć można ta chyba okolicznością, że w tym portowym mieście od szeregu pokoleń prowadziły handel winem, czy rodzynkami rody pochodzenia anglosaskiego, czy niemieckiego. Rody te od dawna już zmieniły obywatelstwo i zespoliły się całkowicie z hiszpańskim gruntem, ślad jednak dawnego pochodzenia pozostał dotąd, w nazwiskach, no i jasnym niekiedy kolorze włosów.

HIGIENA I ZDROWIE

Dobrodziejstwo porannej gimnastyki radiowej

Radiowe stacje nadawcze niemal wszystkich państw nadają we wczesnych godzinach rannych „gimnastykę poranną".

Jest u nas, we Francji, w Austrii, w Niemczech ect zwyczaj, iż w takt wskazówek, płynących z głośnika radiowego, gimnastykują się codziennie rano miliony ludzi.

Z lekarskiego punktu widzenia zwyczaj ten jest bardzo wskazany. Medycyna ma jednak w tym kierunku pewne zastrzeżenia, które streścić można w jednym zdaniu: Gimnastyka poranna jest zdrowa i wskazana dla osób młodych, Dla nich jest ona zdrowa, naprawdę korzystna i polecenia godna.

Inaczej jednak wygląda ta sprawa wówczas, gdy dotyczy osób, które przekroczyły pięćdziesiąty rok życia. U tych osób bowiem efekt intensywnych wysiłków fizycznych, dokonanych we wczesnych godzinach rannych, bezpośrednio po przebudzeniu się, może być nieraz wprost fatalny. W nocie przedstawionej ostatnio Akademii Medycznej w Paryżu wyliczył dr. M. Boigey kilka tego rodzaju wypadków: Mężczyzna 56-letni, zdrowy i nie zdradzający dotąd żadnych objawów organicznej choroby, zmarł nagle w czasie wykonywania rannych ćwiczeń gimnastycznych, mianowicie w chwili, gdy leżąc na kanapie, podniósł nogi do góry. Drugi, zupełnie analogiczny wypadek, zdarzył się u mężczyzny 67-letniego w tych samych warunkach. W trzecim wypadku mężczyzna 52-letni, dotąd zupełnie zdrowy, pełen energii i życia, przyzwyczajony był do codziennych ćwiczeń gimnastycznych bezpośrednio po przebudzeniu się. Pewnego ranka, po intensywnej gimnastyce, poczuł zawroty, po czym senność i gwałtowne bóle głowy. W ciągu dwudziestu czterech godzin cała prawa połowa ciała uległa stopniowemu porażeniu.

Człowieka, będącego w sile wieku, który przekroczył zaledwie pięćdziesiątkę, śmierć zaskoczyć może wówczas przy jego biurku w czasie pracy zawodowej, lub bezpośrednio po znacznym wysiłku fizycznym (np. po lekkomyślnej, nadmiernie wytężającej wycieczce narciarskiej lub po zbyt intensywnym treningu pływackim). A czasem bezpośrednio po rannej gimnastyce, zwłaszcza wówczas, gdy ćwiczenia wykonywane były w pozycji leżącej.

Czy można tych fatalnych wypadków uniknąć?

W wielu przypadkach tak. W tym celu zapamiętajmy sobie następujące uwagi: Każdy człowiek w dojrzałym wieku, a zwłaszcza po pięćdziesiątym roku życia, może posiadać organiczne zmiany sklerotyczne w naczyniach krwionośnych mózgu lub organiczne zmiany w naczyniach wieńcowych serca (tak częste po 45 roku życia, zwłaszcza u nałogowych palaczy tytoniu). Bardzo często zmiany te są tak minimalne, że żadnych objawów chorobowych nie wywołują. Przy normalnym i higienicznym trybie życia zmiany te nie przeszkadzają w niczym ani pracy, ani w umiarkowanym używaniu życia i pozwalają dożyć sędziwego wieku. Nie wolno jednak w sposób lekkomyślny prowokować katastrofy.

Wszelki nagły i nadmierny przypływ krwi do głowy może być w skutkach fatalny. Dlatego zakazane są wszelkie ćwiczenia gimnastyczne, wykonywane w pozycji leżącej. Ćwiczenia takie, zdrowe dla osób bardzo zdrowych powinny być zakazane dla osób dojrzałych z wyjątkiem tych jednostek, u których ściśle badanie lekarskie wykazało zupełnie zdrowe serce. i niskie ciśnienie krwi.

Nadmierne, gwałtowne wysiłki fizyczne są zakazane. Umiarkowane uprawianie sportów i codzienna gimnastyka są dla dojrzałych i starszych osób wskazane i zdrowe, pod warunkiem jednak, że wykonane będą w odpowiednim czasie i z odpowiednim umiarem.

Bezpośrednio po przebudzeniu może się zerwać na równe nogi dziecko lub młodzieniec. Człowiek dojrzały jednak, a zwłaszcza ten, który przekroczył już pięćdziesiątkę, powinien bezpośrednio po przebudzeniu się pozostać jeszcze w łóżku najmniej dwadzieścia minut, następnie wstać, umyć się, ubrać i stopniowo nabrać sił i energii do pracy. Wczesna godzina poranna, bezpośrednio po przebudzeniu się, nadaje się najmniej do intensywnej gimnastyki dla osób starszych. Najodpowiedniejszą porą jest dla tych osób godzina piąta lub szósta po południu albo też godzina dziesiąta względnie jedenasta rano, kiedy organizm znajduje się u szczytu swej sprawności fizycznej.

Niektórzy ludzie mogą bezkarnie przemęczać swój organizm i wykonywać najbardziej intensywne ćwiczenia fizyczne o każdej porze dnia. Pamiętajmy jednak o tym, że są to wyjątki. Z reguły zaś zapamiętajmy sobie, że po pięćdziesiątym roku życia należy unikać nadmiernego napływu krwi do głowy.

Nadmierna libacja wieczorna może być tak samo niebezpieczna dla zdrowia, jak zbyt silne lub szybkie ruchy gimnastyki porannej, wykonywane natychmiast po przebudzeniu się, a szczególnie ćwiczenia w pozycji leżącej.

Pomarańcze regulują trawienie

Pomarańcze przestały już u nas być niedostępnym marzeniem dla kieszeni przeciętnego inteligenta. A przecież pomarańcza, dojrzewająca w najkorzystniejszych warunkach, bo pod wpływem działania promieni popołudn. słońca to prawdziwa skarbnica witamin. Wiemy o tym wszystkie, jak gorąco i jak słusznie lekarze zalecają spożywanie soku z pomarańcz, niezależnie od wieku pacjentek i pacjentów.

Stanowi on część składową jadłospisu niemowlęcia, jest ulubionym przysmakiem dziecka, najbardziej pociągającym napojem rekonwalescenta, najrozkoszniejszym źródłem odżywczym dla chorego.

Spożywanie większej ilości całych pomarańcz nie zawsze daje tak idealne wyniki, jak picie soku, tłoczonego z tego wybornego owocu, a to dlatego, że delikatne z natury, albo osłabione chorobą organy trawienne nieraz dają sobie z trudnością radę z nadmiarem miąższu, otoczonego cieńką wprawdzie błonką i z nagromadzeniem włókien, rzadko kiedy starannie usuwanych. Natomiast sok może być przyjmowany w każdej niemal ilości bez obawy o jakiekolwiek zaburzenia.

Ma się rozumieć tam, gdzie chodzi o osoby, pozostające na drobiazgowej diecie, albo o niemowlęta, nadmiar nie może być stosowany, a dawki powinien wyznaczać lekarz, orientujący się w potrzebach i możliwościach przetwórczych danego organizmu.

Pomarańcze i sok pomarańczowy są opatrznościowe dla organizmów o opieszałej, złej przemianie materii, poza tym regulują trawienie, wpływają idealnie na cerę, dostarczają organizmowi najcenniejszych witamin pod najmilszą dla podniebienia postacią.

Wzmagające się z każdym dniem zużycie pomarańcz powinno nas nauczyć poszanowania dla skórek pomarańczowych, które w wielu domach są traktowane po macoszemu.

Pomarańcze, niedbale obierane, dają skórki porwane na strzępy, niezdatne do dalszego zużytkowania. A tymczasem skórka pomarańczowa potraktowana nie jako odpadek, a jako pod-

stawa gospodarskiej wytwórczości, staje się dla nas bardzo cenna, szczególnie jeżeli nie posiadamy zapasu konfitur, albo mamy je na wyczerpaniu. Poza tym gra ważną rolę jako dodatek do ciast, legumin itp.

Skórki należy moczyć w zimnej wodzie na przeciąg doby. Zmieniać wodę kilkakrotnie. Moczenie odgorycza skórkę.

Po wyjęciu z wody osączyć, pokrajać wzdłuż na cieniutkie jak papier paseczki, ugotować w obfitej wodzie, osączyć.

Przygotować gęsty syrop, zalewając cukier taką tylko ilością wody, jaką wchłonąć zdoła, zagotować, wyszumować. Do wrzącego syropu, włożyć skórkę, smażyć na wolnym ogniu aż do chwili, kiedy stanie się zupełnie przezroczysta. Wystudzoną składać w słoiki, przechowywać jak wszystkie konfitury, owiązane pergaminem i ustawione w suchym, przewiewnym i chłodnym miejscu.

Wyśmienita do herbaty, przybrania legumin, ciastek, tortów.

Wartość jarzyn

Z powodu małej zawartości białka i tłuszczów uważane były jarzyny przez długie lata za mniej wartościowe środki żywności. Istotnie wartość ich kaloryczna jest niewielka, ale wykazują one, szczególnie w swych zielonych częściach, duże ilości soli mineralnych i niezbędnych do życia witamin, do których obecne poglądy na higienę przywiązują zasadniczą wagę.

Rodzaje:

Jarzyny są to części jadalne różnych roślin.

Rozróżniamy:

Jarzyny liściaste: sałata, szpinak, wszelkie kapusty.

Korzenie: brukiew, marchew, buraki, chrzan, selery.

Kwiaty: kalafiory.

Łodygi: kalarepa, szparagi.

Owoce: pomidory, ogórki, dynie, melony.

Nasiona: groch, fasola.

Wartość odżywcza i znaczenie.

1) Znaczna zawartość soli mineralnych (żelaza, wapna, magnezu, potasu) sprawia, że jarzyny wykazują wysoką wartość odżywczą, oddziaływującą na budowę kości, wytwarzanie się krwi i strukturę komórek w organiźmie itd.

2) Bogactwo witamin jest warunkiem wzrostu dobrego poczucia, odpowiedniej przemiany materii i odporności na choroby. Największą obfitość witamin wykazują jarzyny zielono-listne.

3) Olejki aromatyczne i kwasy, zawarte w jarzynach, pobudzają apetyt i trawienie.

4) Składniki jarzyn są potrzebne do tworzenia krwi.

5) Znajdujący się w jarzynach błonnik pobudza działanie jelit i przyspiesza trawienie.

6) Jarzyny po spaleniu w organiźmie dostarczają związków odkwaszających, czyli zasadowych.

7) Jarzyny wykazują przeważnie niewielkie ilości białka. Jedynie białko jarzyn zielonolistnych jest pełnowartościowe.

8) Jarzyny młode o delikatnym błonniku są łatwostrawne. Poza tym strawność zależy od sposobów przyrządzania.

9) Wartość nasycająca jest przeważnie nikła, dlatego podnosi się ją przy przyrządzaniu przez dodanie mąki, mleka, śmietany, tłuszczu.

Każda dobra gospodyni winna dbać o to, by zapasy swe żywnościowe obficie w jarzyny zaopatrzyć i podawać je codziennie do stołu. Uwzględnić należy przede wszystkim sałaty i surowizny, w których sole mineralne i witaminy pełną swą wartość zachowują.

Świat i życie

„Syn nieba" na co dzień

Mikado w pojęciu Japończyka, to nie człowiek, to uosobienie bóstwa. „Syn Nieba" poprzez długi szereg swych przodków, wywodzi się w prostej linii od bóstwa. Toteż cesarz japoński doznaje ze strony narodu specjalnego kultu, jakiego w dziejach innych narodów nigdzie nie spotykano. Cesarz Hirohito jest, podobnie jak jego przodkowie, wszechładny i nietykalny. Gdy naród nie jest zadowolony z rządów, krytykuje się ministrów. Osoba cesarza pozostaje poza wszelką dyskusją i polemiką. Jest on tajemniczy, i tylko rzadko pokazuje się publicznie.

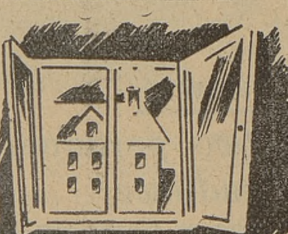
Taką okazją jest doroczna parada gwardii cesarskiej. Dzień ten jest wielkim świętem w życiu żołnierza japońskiego. Fanfary zapowiadają przybycie cesarza poprzez most, łączący pałac cesarski z miastem Tokio. Zalega głębokie milczenie nie tylko szeregi wojskowe, ale także wśród dyplomatów, dygnitarzy państwowych i generalicji, zgromadzonych przed małymi, biało-czerwonymi namiotami ustawionymi przed pałacem cesarskim.

Na mleczno-białym koniu nadjeżdża cesarz w postawie zupełnie nieruchomej, ubrany w czarny uniform generalski i czapkę generalską z niebieskim pióropuszem. Cesarz przejeżdża powoli wzdłuż frontu wojsk i salutuje sztandary, składające się z drzewa o pozłacanym kulistym czubku i kilku buńczuków. Za cesarzem jadą poczty sztandarowe, książęta dworu i komendanci pułków. Następnie cesarz zajmuje miejsce przed namiotami i odbiera defiladę wojsk, po czym udaje się znowu do swego pałacu. Jeszcze przez kilka minut po oddaleniu się cesarza panuje wśród tłumów zupełna cisza.

Cesarz Hirohito jest człowiekiem bardzo pracowitym. Wstaje on razem z wschodzącym słońcem i ubiera się bez pomocy kamerdynera. O godzinie 6-tej minut 30 cesarz udaje się do sali stołowej, gdzie oczekuje go cesarzowa. Do śniadania, na sposób amerykański, pije cesarz kawę, parzoną z ziarn, przysyłanych mu przez emigrantów japońskich z Boliwii. Następnie przychodzą dzieci, które uczęszczają do szkoły nowoczesnej poza pałacem cesarskim. Przed przyjęciem dyplomatów i ministrów cesarz, znający doskonale język francuski i angielski, przegląda prasę krajową i zagraniczną. W wolnych od zajęć chwilach cesarz grywa w golfa, zwiedza muzea i wystawy i zajmuje się studiami biologicznymi. Lubi także bardzo radio.

Cesarz Hirohito w poglądach swych jest człowiekiem nowoczesnym. Po raz pierwszy dowiódł on tego, kiedy jako następca tronu wybrał się z wizytą do Anglii. Już wówczas był on bardzo popularny, a popularność wzrosła jeszcze więcej, kiedy powitał z balkonu swego pałacu demonstrujących na jego cześć studentów i spowodował, że policja nie przeszkadzała im w wznoszeniu okrzyków „banzai".

Niesłychanie ważną ceremonią w życiu cesarza są modły do przodków w świątyni przodków. W czasie tej ceremonii pod żadnym warunkiem nie wolno cesarzowi przeszkadzać, dopóki nie opuści świątyni.



L. MIECZYSŁAW ZERZON

OKNO

ILUS. M. ROMAŁA

Złamana noga jeszcze się całkowicie nie zrosła, więc leżał w łóżku, trawiony nudą i bezczynnością.

Od czasu do czasu wpadał na krótko, któryś z przyjaciół i wnosił z sobą do pokoju powiew ruchu, słońca i jakieś książki, leżące potem na nocnym stoliku, nieczytane.

Zawsze zajęty, teraz miał aż nadto czasu do rozmyślań. Więc myślał o tym, o czym myślał tak rzadko, a zawsze w skupieniu, poważnie, jak o jakiejś świętości. Wyciągał z szufladki kawałek białego kartonu i wpatrywał się w twarz kobiety, narysowaną tuszem. Tak wyglądała; wiernie oddał rysy, choć mu nie pozowała. Taką ją ujrzał wtedy, gdy wszedł do sklepu konfekcji męskiej na Marszałkowskiej. Stała za ladą drobna, szczupła, opięta w czarny, klotowy fartuch. Na żądanie z uśmiechem podawała mu stosy krawatów, doradzając, który wybrać. Długo się decydował. Na drugi dzień przyszedł znów, kupować kołnierzyki...

Potem, jak zakochany student czekał przed sklepem na jej wyjście i wielce zdziwioną, niechętną odprowadził kawałek.

Nie chciała powiedzieć, gdzie mieszka i zawsze pozwalała się odprowadzać tylko ten kawałek, do rogu ulicy, dalej szła sama.

Nie zdołał przełamać muru niechęci, nieufności, z jaką się do niego odnosiła. Opowiadał jej, o sobie, że jest adwokatem, że mieszka wspólnie z matką, staruszką, którą kocha nade wszystko; ogromnie miła i dobra dla niego i koniecznie chce, aby się ożenił. Mówił, że w wolnych chwilach z zamiłowaniem oddaje się malarstwu i że jej zrobi portret, jeśli się zgodzi mu pozować. Posiada w mieszkaniu ładnie urządzoną pracownię, pokaże jej swoje obrazy, zapozna z matką, która się na pewno bardzo ucieszy i przyjmie ją całym sercem.

Zaprzeczyła łagodnie, lecz stanowczo. Jest niezmiernie wdzięczna za zaproszenie, ale nie skorzysta zeń.

Gdy wreszcie wyznał swą miłość i poprosił, by została jego żoną, wyraźnie przestraszyła się.

— Nie, nie nigdy! To niemożliwe! — zawołała niemal gwałtownie, przystając i czyniąc ręką szybki, nieokreślony ruch.

Zesztywniał przez chwilę i rzekł zmienionym głosem.

— Ach, przepraszam. Zapomniałem, że pani może już nie być wolną.

Milczała.

— Czy tak jest? — zapytał, pochylony bliziutko, ku jej drobnej postaci, usiłując spojrzeć w jej zakryte oczy.

Drżała dziwnie, jakby hamowanym płaczem.

— Jestem sama, — pierwszy raz mówiła mu o sobie — zupełnie sama. Mam tylko dalekich krewnych, których mam bardzo mało i którym nic nie zawdzięczam.

— Więc?... — zapytał pełen wyczekiwania.

— Dzieli nas przepaść. Pan jest adwokatem, zamożnym... artystą... a ja biedną dziewczyną, ekspedientką, bez wykształcenia, prostą zupełnie... nie, nie, pożycie nasze byłoby i dla pana i dla mnie jednym ciągłym upokorzeniem.

Rozpogodził twarz, uśmiechnął się.

— Jeśli tylko, ta jedna przeszkoda jest, to świetnie — rzekł, biorąc jej rękę. — Ja się obawiałem poważniejszej. Ja panią kocham i niech pani mnie pokocha. Miłość nas zbliży, zatrze wszystkie różnice, zasypie wszystkie przepaście. A w takim razie, czego się pani jeszcze obawia?...

— Ludzie... — szepnęła.

— Ludzie? A cóż nas mogą obchodzić ludzie.

Zauważył jak twarz jej pociemniała nagłym smutkiem.

— Och, nie wie pan, jacy ludzie są straszni! — zawołała — z nimi trzeba się liczyć i bać się ich. Widziałam, jak złamali życie mojej przyjaciółce, co nieopatrznie pokochała człowieka z innej sfery. Miłość dużo może. Gdy się, mimo różnych przeszkód i podłych intryg, pobrali, pomiatano nią i upokorzono, na każdym kroku dając jej odczuć pochodzenie.

Podniosła dumnie głowę i dodała z zacietością.

— Nie, panie, nie chcę tego doznać!

Doszli do rogu, przy którym się zawsze rozstawali. Zanim się spostrzegł, podała mu rękę i powiedziała: „dobranoc", i skręciła w boczną uliczkę. Chciał podążyć za nią, ale rzekła stanowczo:

— Dalej pójdę sama!

Jakby tknięty złym przeczuciem, rzucił jeszcze w ciemność.

— Czy się jutro zobaczymy?

Nie odpowiedziała i może nie słyszała...

Nazajutrz niespodziewanie musiał wyjechać. Gdy wrócił po paru dniach, już jej więcej nie spotkał.

Szukał jej daremnie przez dwa lata i do dnia dzisiejszego nie przestał...

Przed miesiącem wyszedł z wypadku samochodowego, ze skomplikowanym złamaniem nogi i leżał teraz, pod opieką matki, przytłoczony ciężarem gipsu do łóżka. Często, bardzo często, przyciskał do ust mały kawałek

kartonu z jej twarzą, narysowaną wtedy, gdy zrozumiał, że tylko w ten sposób będzie mógł odświeżać w pamięci umiłowane rysy.

Kiedy już mógł siadać na poduszkach, lubił wieczorami patrzeć przez okno. Przed oczami miał ogromną ciemną ścianę sąsiedniej kamienicy, połataną gęsto żółtymi plamami oświetlonych okien. Wśród szeregu okien, ukazujących wnętrza przeważnie ubogie i sprawy, małe, codzienne, szare mieszkańców czynszowej kamienicy, zwracało jego uwagę jedno okno naprzeciw, o piętro niżej, doskonale widoczne.

Wnętrze zasłaniały białe firanki i tylko przez wąską szparę pomiędzy nimi widać było skrawek stolika, przykrytego zieloną kapą. Czasem nad tą kapą poruszały się pracowicie dwie drobne rączki z robótką, a na firance leżał cień kobiety. Lecz częściej mieszkanka pokoju była widocznie zmęczona całodzienną pracą, bo ręce z robótką nie pokazywały się, a światło wcześnie gasło.

Wreszcie, pewnego dnia ujrzał jej twarz.

Odchyliła firankę i stanęła w otwartym oknie. Zwróciła głowę w bok w stronę ulicy, ruchliwej i gwarnej o tej porze.

Nie zważając na ból nogi, podniósł się z wysiłkiem, wsparł o parapet i wychylił, jak mógł najbardziej. Rozszerzonymi zdumieniem, niewiarą i szczęściem oczami patrzył na profil, rysujący się na jasnym tle oświetlonego pokoju, na drobną postać w czarnym klotowym fartuchu, którego jeszcze nie zdążyła zdjąć po przyjściu ze sklepu.

Nie było wątpliwości. To ona. Poznał bez trudu wcale się nie zmieniła. Chciał krzyknąć, zawołać jej imię, sięgał ręką do kontaktu, pragnąc zapalić światło, by go ujrzała, ale się powstrzymał. Ogarnął go lęk, że go sobie nie przypomni, nie pozna, a jeśli pozna, to znów ucieknie, wyprowadzi się, zanim on wyzdrowieje. Postanowił zaczekać, aż będzie mógł sam pójść do niej.

Poruszyła się i odeszła w głąb pokoju. Biała firanka opadła napowrót.

Teraz dopiero poczuł gwałtowny ból w nodze. Z trudem, stękając, ułożył się na pościeli. Wypoczywał, dysząc ciężko. Zaciskał zęby, aby nie jęczeć. Nadwyrężona, na nowo naruszona noga, bolała srodze. Chwyciła go gorączka, od dawna już nie przychodząca, a wraz z nią ogarniała go słabość i jakieś zamroczenie, pół sen, w którym trwał, majacząc i jęcząc, ku zdumieniu i wielkiemu zaniepokojeniu zbudzonej matki.

— — — — — — —

Opóźnił już tak bliski dzień wyzdrowienia przynajmniej o dwa tygodnie. A co gorsze nie mógł siadać na poduszkach i patrzeć przez okno. Leżał bezsilny, zły, zgorzkniały, trawiony tęsknotą i pragnieniem gwałtownym, niepohamowanym, pójścia do niej i... ufał, że ją przekona o swej miłości, przełamie jej uprzedzenia i obawy.



Tymczasem zastanawiał się, jak to było możliwe, że jej dotąd nigdy nie spotkał, choć mieszkała tak blisko, w sąsiedztwie. Tłumaczył to sobie tym, że obie kamienice, chociaż posiadały wspólne tylne podwórko, frontami leżały przy zupełnie innych ulicach, nie stykających się ze sobą. Skupił całą swą pamięć, lecz nie



mógł się domyśleć co to za ulica, tamta.

Ciekaw był niezmiernie, od jak dawna ona tu mieszkała. Czy już wtedy, gdy ją poznał, czy potem wraz z posadą zmieniła mieszkanie, czy też jeszcze później... W każdym razie, pomyśleć, że on ją szukał po całej Warszawie, chodził po wszystkich niemal sklepach konfekcji męskiej, rozpytywał o ekspedientkę jej nazwiska, a ona tutaj, pod bokiem, kilkanaście metrów od niego!

Klął chorą nogę, która go skazywała na przymusową bezczynność i nie pozwalała pójść do ukochanej natychmiast.

— — — — — — —

Za parę dni będzie już mógł wyjść! Spacery po mieszkaniu udawały się świetnie i noga zupełnie nie bolała.

Zgasił światło i usiadł na łóżku. Spoglądał na okno jej pokoju. Firanki były podniesione do góry, odsłaniały niemal całe wnętrze, oświetlone, stojącą na stole lampą.

W głębi na małej kanapce siedziała ona, a obok niej jakiś mężczyzna. Siedzieli bliziutko siebie, przytuleni, a on mocno nachylony ku niej, coś mówił nieprzerwanie; widać było dokładnie jego usta, nieprzestające się poruszać. Słuchała, uśmiechając się grzecznie i uprzejmie, lecz jakoś sztucznie, wymuszenie, jak w sklepie, za ladą, do gości. Chociaż innego jej uśmiechu nie znał, ale czuł, że to jest taki jaki daremnie, przed dwoma laty, pragnął u niej ujrzeć.

Ucieszyło go to niezmiernie, lecz patrzył dalej, ze zmarszczoną brwią, nachmurzony.

Stół był zaścielony obrusem i leżały na nim resztki kolacji. Nakrycie na dwie osoby, jakaś butelka...

Sposępniał jeszcze bardziej. Obserwował bystro siedzącą parę.

On bez przerwy mówił, a ona słuchała. Mówiąc, pochylał się nad nią, patrzył jej natarczywie w oczy, jakby o coś pytał. Kiwnęła lekko głową i zaśmiała się. Mężczyzna najwidoczniej zadowolony z takiej odpowiedzi, chwycił ją w ramiona i począł całować szybko, zachłannie, mocno obejmował, cisnął do siebie, brutalnie pokonywał opór. Tak! Najwyraźniej broniła się!

Wpił paznokcie w parapet okienny, zwarł szczęki, by nie krzyknąć, nie bluznąć w brutala obelżywym słowem.

Na szczęście odepchnęła go od siebie i wołała. Począł ją przepraszać i na znak przebaczenia otrzymał rękę do pocałowania.

W zgodzie zupełnej pożegnali się.

Gdy została sama, wyjęła z szuflady stołu, oprawioną w stojące ramka, podobiznę i postawiła przy lampie, tak, że ją światło wyraźnie oświetlało.

Zdumienie, wśród innych uczuć, przede wszystkiem wielkie zdumienie rozszerzyło mu źrenice. Poznał swoje zdjęcie, wycięte z gazety, zamieszczone przed rokiem przez parę dzienników z okazji wystawy jego obrazów.

I ona je miała, wycięte i oprawione... i teraz patrzyła nań z uśmiechem... tym prawdziwym, szczerym. Pewno nie pierwszy raz tak patrzyła...

Objawić się jej, zawołać?... Nie, lepiej jutro pójść do niej. Już jutro. Noga wcale nie boli.

— — — — — — —

Pół do ósmej; powinna wrócić ze sklepu. O tej porze zawsze światło błyszczało w jej pokoju. Trwał przed bramą kamiennicy od godziny i nie widział, żeby wracała. A może dzisiaj wróciła wcześniej, niż zwykle, albo wcale nie była w sklepie?

Postanowił zapytać dozorcę.

Wszedł do dużej sieni. Z jakichś drzwi wyjrzała wąsata twarz.

— Na pewno dozorca! — domyślił się.

— Przepraszam, czy tu mieszka panna Bronisława Kralówna? — zapytał, podchodząc.

Gadatliwy staruszek rozpoczął z westchnieniem.

— Pięć lat mieszkała, ale już nie mieszka. Dziś rano wzięła ślub i wyprowadziła się do Sochaczewa, do męża. Długo biedaczka zwlekała, ale teraz musiała. Zredukowali ją, pracy nie mogła znaleźć, a mąż jest na posadzie rządowej, listonosz... A pan w ważnej sprawie? Może dać panu adres sochaczewski?

— Tak... to jest, nie trzeba, dziękuję.

Wyszedł chwiejnym krokiem, ogłuszony. Na schodach potknął się niezgrabnie, jak przez sen uczuł, że go noga gwałtownie zabolała.

— — — — — — —

Leżał w łóżku, z odnowioną kontuzją nogi. Patrzył przez okno, na tamto ciemne, ponure. Chwilami, gdy się księżyc przebił przez zachmurzone niebo, błyszczał na szybie upiornie żółto.

Więc tu mieszkała pięć lat. Jeszcze nim ją poznał. A potem gdy jej szukał, nie wiedział, że ona tu... Aż dopiero kiedy z nudów, w chorobie, spojrzał w okno, ujrzał ją... zapóźno... Wyszła za mąż za listonosza, ze swej sfery... a w wigilię ślubu wpatrywała się w fotografię... jego.. tuż, po odejściu narzeczonego... z musu wyszła za mąż, długo zwlekała...

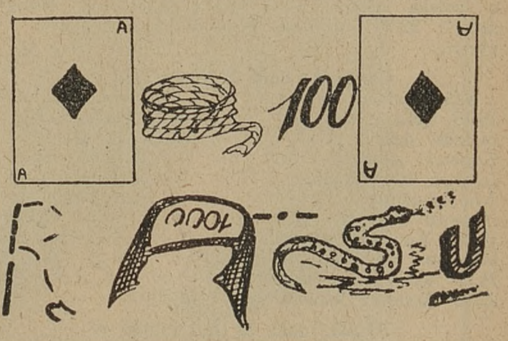
Żebyś jeszcze jeden dzień była zaczekała!...

Został mu karton na pamiątkę i tamto okno... ciemne...

CHWILA ZASTANOWIENIA

REBUS

uł. Gał. (Czł. W. Kl. Szar.)



SZARADA

uł. Witold Mataczyński, Łysinin.

Ny... co to za wiersz? — co za list? — aj waj!
Ny... a może to wcale nie jest list...
Nu... Sara — to jakieś szarada — aj!
Nu... Sara — przeczytaj, co to za myst?
Pierwsze z trzecie, to mi sobi „szada",
„Szada"... „Szada" — co to znaczy „szada"?
Ny... bo ja wim. — Sara — czytaj dalej!
Naco inni tak tu napisali?
Druga z trzecie to jakieś „rada"
„Rada"... „Rada"... — my... co to za „rada"?
Uj! Sara, co to jest... co to będzie...
„Szada" — „rada" „szarada" — to będzie...
Bo ja wim — może to nie szarada.
Może to jaki wirsz.... może list...
Nu, zgadnić — Szanowne Czytelniczki,
Co to jest... co to za diabelniki?...

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązanie zadań z numeru 27 „Moich Powieści": Magirekonstrukcja: 1. Krowa 2. Robot 3. Obora 4. Worek 5. Ataki.

Wyrazy czytane tam i wspak: 1. Cap — pac. 2. Rad — dar. 3. Kap — pak. 4. Trop — port. 5. Arak — kara.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Aniela Łozowiczówna — Poznań, Józefa Kokoszanka — Pińsk, Albert Jagłowice — Pińsk, Ludwik Kiełpiński — Bydgoszcz, Zofia Zaradzianka — Biskupice, Walerian Iłkowski — Puck, Maria Iłkowska — Puck.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Marii Iłkowskiej z Pucka i Ludwikowi Kiełpińskiemu z Bydgoszczy.

Radio

Niedziela, dnia 17 lipca 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Regionalna transmisja z Zamościa 12.03 Poranek muzyczny 13.00 „Książki naszego dzieciństwa" — szkic literacki 13.15 Muzyka obiadowa 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Komedia A. Fredry „Pierwsza lepsza" 17.00 Recital wiolonczelowy Dezyderiusza Danczewskiego 18.00 — „Dwa serca w rytmie walca" — operetka Stolza 20.05 Transkrypcje i parafrazy fortepianowe Liszta — płyty 21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 „W letni wieczór" — koncert rozrywkowy.

Poniedziałek, dnia 18 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Moje wakacje" — powieść Starego Doktora dla dzieci — 15.30 Muzyka lekka z płyt — 16.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Orkiestry Marynarki Wojennej z Gdyni 16.45 Przez pustynię arabską — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert solistów 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Rodzina Straussów — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert rozrywkowy z Krakowa 22.00 Koncert symfoniczny z Budapesztu.

Wtorek, dnia 19 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Leoniszki" — transmisja z kolonii dla dzieci 16.00 Drobne utwory i pieśni Edwarda Griga 16.45 Motocyklem po Polsce — opowiadanie 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Koncert symfoniczny z Krzemieńca Transmisja z Muzycznego Ogniska Wakacyjnego 19.10 „Ostatni za życia Tadeusza Czackiego popis w gimnazjum krzemienieckim" 19.35 „Wywczasy" — Koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Vivat semper wolny stan" — lekka audycja muzyczno-słowna 22.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Rozgł. Wileńskiej.

Środa, dnia 20 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Audycja dla dzieci 16.00 Orkiestra rozrywkowa w Łodzi 16.45 „Żagiel a silnik na okrętach szkolnych" — odczyt 17.00 Muzyka taneczna 18.00 „Ogrody wieku oświecenia" — felieton 18.10 Recital śpiewaczy Anieli Szlemińskiej 18.45 „Młodzieniec z piórem bocianim" — baśń chińska 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Chopin a polska ziemia (4-ta aud.) „Mazurek zdobywa świat" 22.00 Muzyka symfoniczna Schuberta — płyty.

Czwartek, dnia 21 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Moje wakacje" — powieść Starego Doktora dla dzieci 15.30 Muzyka lekka (z płyt) 16.00 Koncert solistów 16.45 C. O. P. — reportaż Jerzego Michałowskiego 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Arie i pieśni w wyk. Alberta Felińskiego 18.30 „Powrót" — St. Balickiego — premiera słuchow. 19.00 Koncert rozrywkowy 19.45 Audycja Konkursowa Polskiego Radia 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Skrzypce i mandoliny — koncert rozrywkowy 22.00 Koncert kameralny z Krakowa.

Piątek, dnia 22 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Głośno szumią Gopła fale" — audycja dla dzieci 16.00 Koncert solistów Ork. Rozgłośni Lwowskiej 16.45 C.O.P. — reportaż Jerzego Michałowskiego 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Rzeczy ciekawe z techniki i przyrody — pog. 18.10 Utwory fortepianowe w wyk. Arno Heintzego z Łodzi 19.00 Pieśni polskie w wyk. zespołu żeńskiego „Pro Arte" 19.30 W romantycznym kalejdoskopie — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Te brzóz kilka, ten bieg wody" — audycja słowno-muzyczna z cyklu „Dawne piosenki" (z Poznania) 22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Pavela (4-ta aud.).

Sobota, dnia 23 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Leśna królewna" — słuchowisko dla dzieci 16.00 Koncert rozrywkowy 16.45 C.O.P. — reportaż z płyt 18.45 „Mohort" — rapsod rycerski W. Pola 19.00 Recital klarentowy Józefa Madei 19.30 Ludowe melodie Wileńszczyzny z Wilna 20.00 Audycja dla Polaków za granicą 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 21.40 Transm. I meczu pływackiego Polska— Finlandia 22.10 „Godzina niespodzianek".

HUMOR

CZAR SZTUKI

Z teatru wychodzą dwa typy i dzielą się wrażeniami z tego — co widzieli...

— Świetnie grał ten aktor... prawda? Jak krzyknął: „Łapać złodzieja"! — to już chciałem uciekać...

PRZYGOTOWANIE NA ŚMIERĆ

— Moje serdeczne współczucie. Czy mąż pani był przygotowany na śmierć?

— No chyba! Był ubezpieczony w trzech towarzystwach ubezpieczeniowych.

NALEŻAŁO BY

Przy jednym z lasów w Małopolsce Wschodniej wisi następująca tablica:

— „Przechut zbniony. Wielka kar. Kogosia złapie 20 złotych".

Należałoby jeszcze dopisać „a kogosia nie złapie, to trudno"....

ZAPRACOWANE

— Skąd masz ten piękny kostium letni?

— Zapracowałam nań.

— ?

— Tak, oduczyłam mego męża od palenia papierosów!

Z DWOJGA ZŁEGO

Pewna młoda aktorka zdaje egzamin na prawo jazdy.

— A teraz — mówi egzaminator — mały przykład praktyczny. Proszę sobie wyobrazić, jedzie pani szosą... Nagle na zakręcie widzi pani z lewej strony mur, a z prawej — wóz z sianem. Co by pani zrobiła w takim wypadku?

— Wybrałabym, oczywiście wóz z sianem!

WIELKA ZNIŻKA CEN

Właściciel wielkiego składu obuwia przywołuje głównego sprzedawcę i powiada:

— Panie, trzeba coś wykombinować, ostatnio nic nie targujemy... Możeby tak zniżyć trochę ceny, co?...

— Pomysł wcale nie zły, panie szefie... Może pan szef będzie łaskaw wyznaczyć nowe ceny...

— Ot, np. ta para pantofli kosztuje 20 zł., prawda?...

— Tak jest, panie szefie...

— W takim razie wystawimy je w oknie z następującym napisem: — „Dawniej 30 zł., dziś tylko 25 zł!... Wielka zniżka cen!"

W BIURZE MATRYMONIALNYM

Pan Teoś przychodzi do swata.

— Ma pan coś odpowiedniego dla mnie?... Obrzydło mi kawalerstwo !

— Mam dla szanownego pana coś w sam raz... Ani stara, ani młoda, ani bogata, ani biedna, ani ładna, ani brzydka...

— A ile ona ma lat?...

— W cieniu 40, w słońcu 50.

— Jakto?...

— Bo w słońcu ona mruży oczy i to ją czyni starszą o dziesięć lat...

W SZKOCJI

Pewien Anglik ożenił się ze Szkotką.

— Czy dużo prezentów dostałeś od rodziny? — pyta go przyjaciel.

— Tak, prawie same srebra!

— A od teścia?

— Piękne pudełko proszku do czyszczenia srebra!

* * *

Dwaj Szkoci spotykają się na ulicy. Jeden z nich utyka.

— Co ci się stało?

— Mam ciasne kamasze.

— Zdejm je!

— Nie mogę. Wczoraj znalazłem całe pudełko z plastrami na odciski.

DLA BEZPIECZEŃSTWA

— Dlaczego kopiesz mego psa? On nie gryzie.

— Możliwe. Ale on podniósł jedną ze swych tylnych nóg i byłem najpewniejszy, że chce mnie kopnąć.

KOMPLEMENT

— Pańska żona jest piękna, jak obraz — zachwyca się przyjaciel pana Antoniego.

— Prawda, że jak obraz — wzdycha pan Antoni — cała ręcznie malowana.

W APTECE

Do apteki przychodzi pewien pan.

— Poproszę o arszenik dla mojej teściowej...

— A czy ma pan receptę od lekarza?...

— Nie, ale mam za to fotografię teściowej.

NIE ZROZUMIAŁA

— Ile razy pani się uśmiecha, zawsze mam ochotę powiedzieć:

„Przyjdź do mnie"!

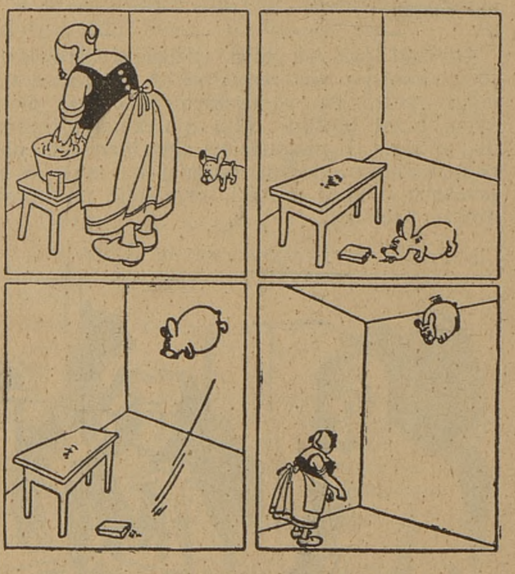
— Ależ pan jest donżuanem.

— Broń Boże, jestem dentystą!

REKLAMA

Na Gęsiej kupiec Josek Katzenduft wywiesił w oknie wystawowym tablicę z nast. napisem:

„Ludzie, nie dajcie się gdzieindziej okradać! kupujcie u mnie!"



Gdy piesek najadł się drożdży

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp, wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.